









STANISŁAW SZCZUTOWSKI

NAD GŁĘBIAMI  
„W E S E L A”

(TRAGEDJA RZECZYWISTOŚCI POLSKIEJ)



INSTYTUT  
BADAN LITERACKICH PAN  
Biblioteka  
ul. Nowy Świat Nr 72  
00-980 Warszawa  
Tel. 26-38-62, 26-52-31 w. 42

---

K R A K Ó W 1 9 3 2

WYDAWCA: WYDZIAŁ HISTORII I GEOGRAFII

WYDZIAŁ HISTORII I GEOGRAFII

WARSZAWA

WYDZIAŁ HISTORII I GEOGRAFII



WYDZIAŁ HISTORII I GEOGRAFII

NAD GŁĘBIAMI „WESELA“



STANISŁAW SZCZUTOWSKI

NAD GŁĘBIAMI  
„W E S E L A”

(TRAGEDJA RZECZYWISTOŚCI POLSKIEJ)



---

K R A K Ó W 1 9 3 2



---

---

ODBITKA Z „PRZEGLĄDU POWSZECHNEGO“

---

---

---

Drukarnia „Przeglądu Powszechnego“

M 014  
<http://rcin.org.pl>

Przed czytaniem prosimy o poczynienie następujących poprawek.

<i>sfrona</i>	<i>wiersz</i>	<i>wydrukowano</i>	<i>powinno być</i>
7	25	być czynem	<i>byfo</i> czynem
10	38	dziennikarzom	dziennikarzowi
20	4	Alma Tadeusza	Alma Tadema
22	22	pełnej mierze	pewnej mierze
27	32	wskrzesza	wskrzesza
30	12	pijana żądza	pijana żądza
33	10	<i>repousoi'u</i>	<i>repousoit'u</i>
33	31	obserwacją	<i>aberracją</i>
38	13	Nikomu jej	Nikomu <i>podkowy tej</i>
41	10	<i>mimiczy</i>	<i>mimicry</i>
42	39	odstąpił naród	odstąpiła naród
43	21	to mi	<i>róg</i> mi
51	21	statystycznym	<i>stafycznym</i>
61	17	zgiełkiem rozżartej	zgiełkiem <i>gromady</i> rozżartej
61	30	powszednie	<i>powszechne</i>

## 1. Interpretacja pozytywistyczna.

Dziwne są losy tego utworu. Niema chyba w literaturze polskiej dzieła, któreby mu dorównywało potęgą dramatycznego wyrazu. Niema również takiego, któreby, podobnie jak *Wesele*, od lat 30 w 100 pracach drukowanych komentowano, by rozwiązać zagadkę jego myśli przewodniej. I mimo tak olbrzymiego badawczego wysiłku zagadka ta nadal pozostaje zamknięta. Czyżby dlatego, że posiada styczność z tajemnicą bytu narodowego, lub może nawet bytu ludzkiego wogóle? W każdym bądź razie bardzo na czasie wznowił dyskusję w sprawie *Symboliki Wesela* (w pracy tak właśnie zatytułowanej) prof. dr. Stanisław Cywiński. Na czasie nie tylko ze względu na formalną okazję 25 rocznicy zgonu Wyspiańskiego, lecz bodaj także dlatego, że zagadka bytu narodowego, a nawet bytu całej cywilizowanej ludzkości, staje się w naszych czasach szczególnie piękną. Warta jest przeto myślowego wysiłku i dociekań, choćby w zakresie tego jej literackiego odzwierciedlenia, jakie stanowi *Wesele*.

Praca prof. Cywińskiego jest cenna jako przejrzysta reasumcja obecnego stanu wiedzy o *Weselu* włącznie z własnymi do niej przyczynkami autora. Nietylko jednak (jakby tego autor może pragnął) nie zamyka ona dyskusji na „weselny” temat, lecz, przeciwnie, toruje jej drogę, wygładza pole, wyzywa do niej — wyraziście formułując pewną tezę, mającą w obecnym stadium badawczym, pozór przewagi nad innymi. Jest to teza pozytywistyczno - antyromantyczna, która symbolu dodatniego doszukuje się w Chochole, ujemnego zaś w Złotym Rogu.

Metoda, przy pomocy której prof. Cywiński tę tezę przeprowadza, znajduje się w tak bliskim z nią pokrewieństwie, że wywołuje wrażenie, jakoby to ona głównie, owa „trzeźwa“, archiwalno-erudycyjna metoda, pomimo całego swego obiektywizmu, stała się subiektywną rodzicielką tezy.

Zaszczyt macierzyństwa pozytywistycznej interpretacji *Wesela* przypada zresztą nie tylko prof. Cywińskiemu, ale zbiorowo całej grupie krytyków. Jak dalece jednostronna to metoda i duchowi utworu Wyspiańskiego przeciwstawna, o tem przekona się łatwo każdy estetycznie wrażliwszy czytelnik, jeśli po przeżyciu dramatycznej i plastycznej wspaniałości *Wesela* spróbuje bezpośrednio zanurzyć się w traktat prof. Cywińskiego. Bez złośliwości, lecz najzupełniej ściśle stwierdzić wypada, że się wtedy doznaje tak silnych wrażeń, jakby „z uniesienia w równe nogi skoczyć w studnię“. Dzieło wielkiej sztuki to nie jest rozprawa naukowa czy publicystyczna, by do niej podchodzić można było od strony wyłącznie pojęciowego śledztwa. Tą drogą nie da się wyjaśnić pojęciowej treści, ukrytej pod tajemną mową symbolów. Pojęciowa treść symbolów pozostaje w najściślejszym organicznym związku z tychże symbolów, jakoteż obrazów plastycznych, erupcyj słownych, sytuacji dramatycznych, potężną wymową wrażeniowo-wzruszeniową. Jeśli się zatem pragnie dotrzeć do ideowego jądra takiego wulkanu nastrojów i wizyj, jak *Wesele*, to żadną miarą nie można się ograniczyć do wyłuskiwania zeń samego tylko żwiru myśli, lecz analizę pojęciową należy kojarzyć z danymi analizy estetycznej.

Zresztą i w obrębie przyjętej przez się metody jednostronnego śledztwa pojęciowego prof. Cywiński staje się jeszcze powtórnie, w kwadracie, jednostronnym pod względem ilościowym. W pracy bowiem o *Symbolice Wesela* z pośród całego zespołu tajemnych znaków tej sztuki, (tak do szpiku kości ezoterycznej, że niektóre jej obrazy czynią wrażenie szyfrowego pisma, iluminowanego barwnym przepychem fantazji twórczej) w pracy o takiej sztuce prof. Cywiński wyrywa poprostu z symfonji symbolów dwa najbardziej uderzające, Złoty Róg i Chochoła, i usiłuje je poddać

sekcji analitycznej bez żadnego związku z całą symfonią. Wogóle jednak nieproporcjonalnie mało poświęca uwagi samemu *Weselu*. Zaprzątnięty jest rekonstrukcją światopoglądu Wyspiańskiego, dochodzeniem jego źródeł, oraz wytropieniem domniemanej w tym dramacie intencji czy tendencji twórcy. Jest to metoda ryzykowna także i dlatego, że w psychicznym procesie twórczym akty estetycznego odczucia i dramatycznego porywu mogą się niekiedy intensyfikować powyżej stanów świadomości intelektualnej. Wtedy powstają dzieła w rodzaju *Improwizacji* Konrada, czy *Widzenia ks. Piotra*, o których autor wie, równie jak słuchacze, że są estetycznie wspaniałe, ale o których znaczeniu symbolicznem mówić nie lubi... Wogóle podświadomość często towarzyszy aktom jasnowidztwa. Z drugiej strony nieraz dopiero potomni, po wielu latach, mogą na podstawie faktów stwierdzić, czy jasnowidztwo w danym razie miało istotnie miejsce.

Wyniki absolutnie pozaestetycznej metody prof. Cywińskiego są interesujące, o ile chodzi o rodowód i charakterystykę świata myśli Wyspiańskiego. Trudno się nie zgodzić z autorem, kiedy stwierdza, że Wyspiański był przedstawicielem pokolenia zawieszzonego w próżni pomiędzy ostatnimi porywami powstańcami a nową Polską, tą, która miała zostać przywrócona do niepodległości; że zapatrywał się krytycznie na wartość tego pokolenia jako ogniwa, które powinno być czynem, dobytym z rzeczywistości, nawiązywać łączność pomiędzy dodatniem dziedzictwem czasów minionych, a ową właśnie Polską nową, wyzwoloną; że pragnął wiązać ze sobą to, co było twórczego w dorobku romantyzmu i realizmu, odrzucając ich strony ujemne i t. d. Powyższa jednak charakterystyka Wyspiańskiego, źródłowo w pewnych kierunkach uzasadniona (Norwid — Teka Stańczyka), nie jest pełna. Ponadto prof. Cywiński nie wyciąga z niej dostatecznych wniosków przy analizie samego *Wesela*, jak rzekłem, zbyt pobieżnej. Dlatego wywód jego jest dość przekonywujący, o ile chodzi o prolegomena, trafny względnie, gdy określa budowę kompozycyjną dramatu, powierzchowny już przy interpretacji aktu pierwszego, a zawodzi najzupełniej gdy — pominąwszy podstawową, niezmiernie dla orientacji w dramacie ważną, scenę z rycerzem w akcie

drugim — przechodzi do Wernyhory i Złotego Rogu. Wniosek wreszcie ostateczny, wbrew najpotężniejszej literackiej i plastycznej wymowie aktów drugiego i trzeciego, degradowuje *Wesele* do rzędu bajecznie kolorowej fantazji z szarym morałem pozytywistycznym na końcu.

Wniosek ten, stanowiący swego rodzaju bluźnierstwo, nie znajduje dostatecznego uzasadnienia w bliższej analizie dramatu ani pod względem pojęciowym, ani estetycznym. Wniosek ten wcale też nie jest potrzebny dla harmonijnego rozwinięcia danych, dostarczonych przez prolegomena prof. Cywińskiego; aczkolwiek harmonizuje on dobrze z tem nastawieniem umysłem autora, które zdradza obrona przezeń metoda. Metoda duchowo pokrewna owej pedagogice, co w szkołach średnich podobno naucza literatury pięknej zapomocą wykresów temperatury uczuć u bohaterów arcydzieł powieściowych. Metoda wyrosła z tego samego pseudo-racjonalizmu, który Renanowi pozwalał ze sceptycznym uśmiechem przeczyć prawdzie stygmatów św. Franciszka; a który to racjonalizm łudzi obecnie swoich adeptów, że pierwiastek wieszczu naszej wielkiej poezji romantycznej został już roztrzaskany na szczątki.

## 2. Wyspiański i Matejko.

Wyspiański był naturą tyleż bogatą, ile złożoną, tak w zakresie uzdolnień artystycznych, jak skłonności umysłowych. Złożone było również środowisko i epoka, których wpływom podlegał. Twórca *Wesela* poświęcił się muzie teatru dlatego, że ona w równej potędze kojarzy ze sobą sztukę słowa i sztukę wzroku, literaturę i plastykę. Wyspiański był malarzem i poetą, a trudno orzec, czem więcej. W każdym razie do swej poezji wprowadzał bardzo silnie pierwiastek malarski. Jako malarz, był, podobnie do Matejki, zarazem realistą i dekoratorem, mniej jednak od mistrza swego dramatycznym w realizmie, a bardziej teatralnym w dekoracyjności. Matejko w malarstwie wyraził całą tragedję dziejów narodu, przyodzianą w dekoracyjny przepych bohaterskiego patosu. Dwoista, malarsko-literacka natura artystyczna Wyspiańskiego tragedję skoncentrowała w sztuce słowa,

przyodziejając je w świetny patos dekoracyjny plastycznej, malarskiej wizji teatru.

Jako uczeń, i poniekąd duchowe dziecko Matejki, nie mógł Wyspiański nie być porwanym wichrową siłą jego realistycznych zjaw wielkiego dziejowego czynu i wielkich, dziejowych postaci. Na tem tle tytanicznej miary, na tle piorunowem, jak *Kazanie Skargi*, a najjaśniejszem, jak słońce chwały Batorego, jakże przyziemnem musiało mu się wydać oblicze duchowe otaczającej go współczesności! Swojami oczyma malarza-realisty, dramaturga-obszernika oglądał ją i odczuwał z przeraźliwie bolesną ścisłością. Sam ani na chwilę nie poddał się zatrutym wyziewom psychiki tego środowiska, niewolą i materjalizmem schorzałej, pod maską przekwitowego wyrafinowania, kryjącej nicość duchową i żądę użycia. Przeciwnie, całym żarem artystycznej swej duszy znienawidził Wyspiański tę zniewoloną psychikę, niegodną wielkiej matejkowskiej przeszłości, psychikę pokolenia, w którym żył. Na takim dopiero zkolei tle trafić mógł Wyspiańskiemu w pewnej mierze do przekonania również pozytywistyczny sceptycyzm szkoły krakowskiej, a zwłaszcza jego nastroje krytyczne wobec współczesności. Według prof. Cywińskiego zaczerpnąć je miał Wyspiański z artykułu Szujskiego *Poetyczni młodzieńce* z r. 1860. — Tu warto przypomnieć, że *Stańczyk* Matejki powstał w r. 1862, *Kazanie Skargi* w r. 1864, *Rejtan* w r. 1866, zaś *Teka Stańczyka* dopiero w 1869. Wielka poezja romantyczna, z trzecią częścią *Dziadów* na czele, to był okrzyk ugodzonej klęską listopadową duszy narodu, okrzyk nawspak rzeczywistości głoszący jej nieśmiertelność i zmartwychpowstanie. Był to zarazem najwznioślejszy protest wobec gwałtu, oraz świadectwo takiej głębi duchowej i takiej mocy twórczej w narodzie, że nieomal sam przez się ten wulkaniczny wybuch natchnienia kompensował polityczne nieszczęście.

Wielkie malarstwo Matejki z *Kazaniem Skargi* u szczytu, a *Batorym pod Pskowem* (1871) oraz *Wernyhorą* (1875) w doróżnym epilogu, było takim samym, jak wielka poezja romantyczna, buntem siły twórczej polskiego życia przeciwko drugiej zrzędu klęsce powstaniowej; buntem artystycznie i duchowo pierwszemu równorzędnym i niemal kompensu-

jącym polityczne nieszczęście. Ów piewszy w dziejach bohaterów zew duszy polskiej w malarstwie sięgnął może nawet głębiej ku istocie polskiej tragedji, bo musiał skojarzyć wstrząsający ton kasandryczny w wizjach przeszłości z równoczesną w nich i równoległą apoteozą wielkiego czynu i wielkich dziejowych postaci. W całokształcie twórczości Matejki ów ton tragicznie dodatni, ton podziwu, miłości i uwielbienia dla tego, co było wielkie, a wiary i nadziei wobec tego, co ma nadejść wielkie, ton kulminujący w *Batorym* i w *Wernyhorze* — bezwzględnie przeważa.

Tak odzwierciedliła się klęska 1863 r. w twórczym duchu Matejki, a jego z kolei twórczość nie mogła nie wywołać ech pokrewnych w duszy Wyspiańskiego. Ich obu jednak, Matejki i Wyspiańskiego, krytycyzm wobec przeszłości jest zupełnie innego rodzaju i miary, niżli (również z klęski powstaniowej, a pod wpływem tragicznych malarskich wizyj Matejki zrodzony) krytycyzm *Teki Stańczyka* oraz historycznej szkoły krakowskiej. W duszach współczesnego obu wielkim twórcom pokolenia, w duszach nawet nieprzeciętnych, jak Szujskiego, znalazło się tylko zbyt szczupłe, jednostronne miejsce dla wielkiej tragedji Polski. Ujęcie przeszłości przez szkołę krakowską odpowiadało nastrojom głównie kasandrycznym, pierwszych wielkich arcydzieł Matejki. Wobec wstrząsającej, ale i porywającej wymowy tych tragicznych widzeń szkoła historyczna krakowska zajęła stanowisko przedewszystkiem goryczy z powodu niepowrotności chwały minionej, stanowisko pozbawione mocy ducha, któraby się ośmieliła powrotu owej chwały pragnąć i do niej dążyć. Wręcz przeciwnie: trójlojalistyczna, skrajnie ugodowa, reakcja przeciwko szaleństwu powstań, stanowiła kamień węgielny stańczykowskiego światopoglądu. Smutny, zatruty kwiat pseudo-trzeźwości, powstały z nieprawego stosunku słabych dusz niewolnego Krakowa do matejkowskiej wizji majestatu dziejów. Trudno wątpić, że Wyspiański nie podzielał tej strony poglądów stańczykowskich. W *Weselu* stańczykowski przemożny ton niechęci do zmarłych winowajców niewoli, oraz niewiary w wyzwolenie, włożył w usta, z niewątpliwą kwalifikacją ujemną dziennikarzom w dialogu z widmem Stańczyka oraz innemu jeszcze z zdruzgotanych

moralnie inteligentów, panu młodemu, w scenie z widmem Hetmana:

Hetmaniłeś ty hetmanie...  
 a my dzisiaj w psiej niewoli...  
 przecz już nic nas nie ocali...  
 dzisiaj to mój dzień miłości...

W stosunku do przeszłości jako artysta wielkiej miary, duchowo pokrewny Matejce, nie mógł Wyspiański zachować się tak, jak stańczycy. Od Matejki oni wzięli tylko zwątpienie, on zaś przeciwnie, obok nienawiści do starych grzechów, powziął żywiołową tęsknotę za ideałem swego mistrza, za wielkim, twórczym dziejowym czynem. Zapragnął ów czyn niejako przesiedlić w teraźniejszość, by mógł posłużyć za pomost, łączący chwałę, która minęła, z chwałą zmartwychpowstania.

Nie wydał mu się godnym źródłem duchowem takiego czynu ów duch oszalałej rozpacz, z którego wyrosły klęski listopada i stycznia. Tem samem musiał Wyspiański stać się wrogiem powierzchownego kultu powstań i zwyrodniałej na tem tle pseudo-romantycznej, pseudo-patrjotycznej, pseudo-politycznej „tromtadracji“. Tu zatem powstała styczność pomiędzy poglądami Wyspiańskiego, a stańczyków. Siegnęła ona dalej we wspólnej Wyspiańskiemu i stańczykom niechęci przeciwko egzaltowanej, sentymentalnej czci już nietylko dla powstań, lecz wogóle dla przeszłości. Tylko, że u stańczyków ta postawa wywodziła się z pretensji do zmarłych, że się załamali w swoim wielkim dziejowym czynie i spowodowali beznadziejną niewolę: u stańczyków wiodła ta postawa do trójjlojalizmu. U Wyspiańskiego natomiast ta postawa wyrażała również głęboki ton jego duszy, jednak to był ton wobec stańczykowskiego raczej odwrotny. Ponad nienawiścią do starych win, ponad boleścią nad dziedzicznem przez nie obciążeniem życia polskiego górował w duszy twórcy *Wesela* żal do żywych, iż — nieodrodni dziedzice grzechów przeszłości — jej mocy twórczej sprostać nie są godni i zdolni. Tęsknota za wielkim, świadomym czynem dziejowym, oraz za zdolnością żywego polskiego pokolenia do podjęcia takiego czynu panuje nad uczuciową, patrjotyczną i artystyczną indywidualnością Wyspiańskiego.

Prawda, że towarzyszy jej niewiara w tę zdolność, zdająca się znowu ściślej spokrewniać duszę wielkiego dramaturga z kasandrycznym tonem *Kazania Skargi* i *Rejtana*, oraz sceptycyzmem historycznej szkoły krakowskiej. Mimo to jednak pomiędzy temi trzema łożyskami reakcji duchowej polskiej wobec styczniowego powstania, pomiędzy Matejką, stańczykami i Wyspiańskim, zachodzą doniosłe różnice. Matejko, zapatrzony głównie w przeszłość, wkrótce zarzuca swój przepotężny początkowy kasandryzm, a podejmuje wielkie epos chwały, czerpiąc z niego wiarę w przyszłość. Stańczycy, zapatrzeni głównie w terażniejszość, toną w ujemnej jednostronności krytycyzmu historycznego, trójlojalizmu politycznego i zwątpienia w przyszłość. Wreszcie Wyspiański, w poglądzie na przeszłość zbliżony więcej do Matejki niż do stańczyków, terażniejszością gardzi, wzrok ma zwrócony najbardziej w przyszłość, a ze swej niewiary w żyjące pokolenie polskie wysnuwa pewnego rodzaju tragiczny, bojujący pesymizm czynny. Możliwy go skoncentrować w pytaniu: czy naród sprosta świtowi wolności przez Cud Zmarłychpowstania?

### 3. Wyspiański i sztuka.

Niezależnie zresztą od tego swego zasadniczego tonu uczuciowego i wypływających z niego trzeźwych, pod adresem żywej współczesności, prefensyj, sam Wyspiański jako artysta, w swoim nastawieniu twórczym, pozostał w dużej mierze „pogrobowcem romantyzmu”. O bogactwie jego indywidualności, przerastającej Matejkę pod tym względem, świadczy fakt, że równoległe potrafił być posagowym klasykiem w dramatach greckich, lub w ilustracjach do *Ilijady*. W *Nocy Listopadowej* zaś postawił przed oczy widzów przedziwny, jedyny w swoim rodzaju stop organiczny klasycyzmu z romantyzmem; a zarazem tragiczny obraz niedorośnięcia do wielkich zadań dziejowych generacji ówczesnej.

Wiele również miał Wyspiański do zarzucenia swoim współczesnym w zakresie ich stosunku do sztuki. Uważał, że jest on równie fałszywy, zgubny i naganny, jak stosunek do przeszłości i do terażniejszości politycznej. Dzieje sztuki dowodzą, że, podobnie jak kult przodków, może ona żywić

ducha i tworzyć cywilizacje, albo też przeciwnie truć je i niszczyć. W bliskim sąsiedztwie epok pierwotnych, o potężnej i wszechstronnie rozwiniętej sile żywotnej, w pośród wielkiego napięcia twórczości we wszystkich podstawowych dziedzinach życia, sztuka wzbija się w błękitne niebo Apollina, albo pod gwiazdzisty tron Madonny i porywa człowieczeństwo na wyżyny wiecznotrwałych objawień Istoty Bytu. Tak klasycyzm grecki objawił duszę ludzką jako dziecię natury, gotyk zaś — jako dziecię Boga. Taką sztukę Wyspiański sam praktykował i czcił w Matejce i w sobie. Istnieje jednak również sztuka inna, nawet wielka, ale zgoła odmienna. Sztuka czarownego, zachwyconego umierania. Sztuka rozkosznej perwersji, wyrafinowanej deprawacji, „wzniosłego“ kultu, „czyniącego światłość“ ducha ciemności. Sztuka *des Fleurs du mal* Beaudelaire'a, Verlaine'a, Maeterlincka, Przybyszewskiego, nawet Tetmajera. Sztuka cywilizacyj i ras, które kończą swoją dziejową rolę, które się chylą do upadku. Sztuka narkotyzująca jak opium. Sztuka bezwładnego oddawania się w niewolę żądz przedśmiertnego użycia pod hasłem „*après nous le déluge!*“ Tej sztuce towarzyszy zawsze nagminny duchowy sybarytyzm egzaltacji estetycznej. Towarzyszy nagminna jego i jej ucieczka pod lucyferyczne skrzydła rozkoszy od wszystkiego, co w życiu jest twarde, co wymaga mocy i walki, a z czego jedynie powstawać może twórczość duchowa. Takiej właśnie sztuki i takiego do niej stosunku widział Wyspiański wiele naokół siebie i nienawidził ich ze wszystkich sił, bo niosły truciznę duszy polskiej i rasie polskiej.

Krótko mówiąc, Wyspiański kochał głęboko swój kraj i właśnie dlatego nienawidził fałszywego, blaszanego (Orły, kosa, szable, godła wszystko było maska podła!!!) tromfadrackiego *quasi* patryjotyzmu, czy „narodowego bałamuctwa“ swoich współczesnych. Kochał, wielbił, lub bolał nad wielką narodową przeszłością, lecz właśnie dlatego nienawidził u współczesnych fałszywego stosunku do tejże przeszłości, przybierającego formę „kultu grobów“ przy równoczesnej upartej kultywacji starych grzechów. Wreszcie Wyspiański kochał i wielbił wielką sztukę, przeto właśnie przyparowało go o rozpacz dekadencie, antytwórcze rozestety-

zowanie społeczeństwa, oraz sztuka je podtrzymująca. Z tego „trójliścia“ zasadniczych skłonności duchowych Wyspiańskiego wynika jasno motyw przewodni jego ujemnego stosunku do nastrojów intelektualnych pokolenia, w którym żył, ale tylko w ograniczonej mierze do samych przedmiotów, ku którym się owe nastroje zwracały. „Przedmiotowa“ niechęć Wyspiańskiego dotyczyła ujemnych stron rzeczywistości minionej, oraz dziedzicznego przez nie obciążenia pokoleń niewolnych. W dziedzinie sztuki zaś — jej objawów lucyferycznych.

O tem pożytecznie jest pamiętać przy czytaniu *Wesela*, jak również o tem, że Wyspiański był zawsze klasycznym wielbicielem twórczej mocy życia, oraz katolikiem. Stąd podwójna wiara w triumf życia nad śmiercią w znaczeniu doczesno-vegetacyjnem, oraz metafizyczno-religijnem. Jedna i druga z tych wiar nosła Wyspiańskiemu pociechę w jego pesymizmie wobec duchowej nędzy niewolnego pokolenia. Wszelako między wiarami temi zachodzi taka różnica, jak pomiędzy złocistym zachwytem chrześcijańskiej wiekuistej światłości, a beznadziejną szarzyzną klasycznych elizejskich, asfodelowych pól. I taka jeszcze różnica, jak pomiędzy realistyczną, matejkowską wizją wielkich potęg twórczych rzeczywistości dziejowej, a tą rzeczywistością nędzną, zakłamaną wobec samej siebie, wobec przeszłości i przyszłości, w jaką przyoblekło się współczesne Wyspiańskiemu życie. Tem niemniej, chociaż Wyspiański całą duszą wyrывa się ku takiemu właśnie realistycznemu ideałowi triumfującej, żywej potęgi twórczej, jaka spływała nań od matejkowskich olbrzymów ducha, to jednak nie zapomina on, iż owe szpetne, skarłone, nienaturalne, odrażające właściwości życia współczesnego, są jednak bądź co bądź właściwościami życia. A przeto wierzy, iż ono wyzwolone być może własną swą odrodzeńczą mocą za jakiejś przyszłej upragnionej wiosny.

Jest to dla Wyspiańskiego smutna „pociecha“, pokorna wobec fatum, pełna poczucia, że tak być musi, a inaczej być nie może. Z drugiej strony nie jest wolna ta „pociecha“ od niepewności, czy moc witalistyczna sama przez się starczy dla zastąpienia chrześcijańskiego cudu zmartwychwstania na żywot wiekuisty ducha poprzez wielki twórczy, rze-

czywisty, trzeźwy i świadomy, jak arcydzieła Matejki, czyn dziejowy.

Pomiędzy temi biegunami wiary chrześcijańskiej i wiary witalistycznej miota się w różnych utworach dwoista, romantyczno-klasyczna dusza Wyspiańskiego. W pesymizmie wobec mocy twórczej swoich współczesnych, w niewierze, by z padołów moralnego bezwładu zdołali się podnieść na wyżyny Cudu Zmartwychwstania, Wyspiański, zwłaszcza w *Weselu* i *Wyzwoleniu*, uderza potężnie w ton rozpaczny, zanim wreszcie smutną swą, wieszczą głowę złoży na asfodelach nadziei witalistycznej.

Jako katolik więc i podświadomy artystyczny „pogrobowiec romantyzmu“, nie mógł i nie chciał twórca *Wesela* odmawiać Bogu prawa czynienia cudów także z narodem polskim. Natomiast domniemany i przewidywany stosunek współczesnego pokolenia do owego Cudu przedstawiał się Wyspiańskiemu i przedstawiony został przezeń jako synteza wszystkich tych rozkładowych nastawień wobec patriotyzmu, wobec przeszłości i wobec sztuki, które tak gorąco potępiał w swoim środowisku.

Dla każdego jakkolwiek bądź trzeźwiejszego, a tem bardziej częściowo „stańczykującego“ umysłu było zawsze jasnym, że Polska niepodległości wyłącznie o własnych tylko siłach odzyskać nie może, że zatem współdziałanie politycznego „cudu“ jest wręcz nieodzowne. Tem bardziej jednak tragicznie zarysowywać się musiało na takim fle pytanie: czy Polacy, Wyspiańskiemu współcześni, zdołają równie cudownie zmartwychpowstać w duchu, by w godny sposób związać czynem na miarę grunwaldzką Grunwald przeszłości z nadchodzącym nowym światem? I jakby się też oni wogóle wobec takiego nowego światu zachowali?

Negatywem kompozycyjnym *Wesela* jest społeczeństwo Wyspiańskiemu współczesne, pozytywem — trojaka rzeczywistość: terażniejsza (wesele w Bronowicach), miniona (matejkowe i mickiewiczowskie wizje aktu drugiego), oraz przyszła (Wernyhora i cud zmartwychwstania w akcie drugim i trzecim). Pomiędzy tym negatywem i pozytywem rozwija się stosunek tragicznego starcia. Społeczeństwo nie jest zdolne godnie stanąć na poziomie wymagań twórczych tro-

jakiej rzeczywistości: ani terażniejszej (zbliżenie stanów na weselu), ani minionej (Grunwald), ani przyszłej (Złoty Róg — wici na zmartwychwstanie wielkiego narodowego ducha i wielkiego narodowego czynu).

Na tem tle osnuty został dramat, tak wstrząsający, jakiemu równego — może poza *Wyzwoleniem* — nie zna literatura nasza.

#### 4. Wesele w Bronowicach.

Akt pierwszy *Wesela*, jak powszechnie wiadomo, jest obrazem polskiej rzeczywistości. Rzeczywistość to dnia ówczesnego, z której wynurzył się właśnie fakt, w zasadzie wielki, zawierał bowiem możliwość istotnego zespolenia, zbrafania i współdziałania stanów w służbie sprawy narodowej.

Polskie pokolenie współczesne, tak po stronie inteligencji, jak ludu, zajmuje wobec tego faktu stanowisko ujemne, egoistyczne. W szczegółach zarysowuje się tu wzajemny stosunek obu stanów, który stanowi w aktach następnych wtórny motyw przewodni dramatu, określający motyw naczelny, t. j. postawę duchową całego pokolenia wobec trojkiej rzeczywistości. Rysunek postaci oraz scen w akcie pierwszym, jak zresztą w całym dramacie, jest realistycznie wyrazisty, ale i realistycznie, po malarsku, obiektywny. Niema w nim akcentacji karykaturalnej, która mogłaby ułatwić widzom dostrzeżenie cech i orientację w ich wymowie; ten obiektywizm (żywo przypominający portrety i studja figuralne Wyspiańskiego) wymaga od czytelnika pewnej specyficznej wrażliwości odczucia. Skutecznie przeto maskuje on tajemny sens *Wesela* wobec szerszego ogółu, a nawet literatów-nieplastyków.

Ze względu na brak miejsca nie mogę niestety i ja również poświęcić analizie *Wesela* tyle własnej i czytelnika uwagi, ileby należało. Należałoby właściwie przeinterpretować każdą scenę i każdy niemal ustęp, wprost bowiem niema między niemi takich, któreby nie dostarczały mniej lub więcej charakterystycznego materiału budowie dramatu. Ograniczę się do najznamienniejszych oraz najmniej dotąd wyjaśnionych. Odrazu we wstępnej scenie Czepca z dzien-

nikarzem ostro, wyraziście zarysowany został wybitnie nie-normalny stosunek pomiędzy ludem, a inteligencją. Czepiec, najbardziej dodatnia z pośród cieleśnie żywych postaci dramatu, przedstawiciel starszego pokolenia chłopskiego, należy do tej części ludu, która istotnie miała jeszcze w sobie coś z Piasta, była „potęgą i basta”. Czepiec garnie się do wiedzy i czynu, a od inteligenta domaga się natarczywie, ażeby go prowadził do jednego i drugiego. Zarazem stwierdza z wyrzutem, że inteligent tego nie chce i nie potrafi.

Pon się boją we wsi ruchu,  
pon nos obśmiwajom w duchu. —  
Z takich, jak my, był Głowacki...

A, jak myślę, że panowie  
duża by już mogli mieć,  
ino oni nie chcom chcieć!

Inteligencja zstępuje do ludu w chacie weselnej pod zupełnie innymi, a zupełnie jasnymi hasłami:

Raz dokoła, raz dokoła!...  
Niech się stopi, niech się spali,  
byle ładnie grajcy grali,  
byle grali na wesele...  
życie było zbyt zawiłe,  
miło snami uciec z życia...  
trzeba mieć ogromną siłę,  
siłę jakąś tytaniczną,  
żeby być czemś na tej wadze...  
Spać, muzyka, granie, bajka...  
to mi się do duszy nada...

Stopić się i spalić ma wielka sprawa zespolenia żywiołowej energii ludowej (Czepiec) ze światłą myślą kierowniczą inteligencji, jedynie zdolna doprowadzić naród do zmartwychwstania w duchu i w ciele. Stopić się ma w ogniu pogoni za osobistym użyciem weselników inteligentów i nie-inteligentów. Albowiem i wśród ludu nie wszyscy są tego samego pokroju, co starsze pokolenie krakusów-kosynierów (Czepiec). Przeciwnie, młodsze pokolenie jest zupełnie odmienne. Panna młoda (chłopka), podobnie jak pan młody (inteligent), szuka w rodzinnym zbliżeniu z „panem” głównie osobistego szczęścia, choć nie obce jej jest również poczucie stanowego podniesienia. W każdym razie wykazuje

w tym kierunku żywy temperament, gdy mowa o pelerynce kanonickiej dla księdza, który „jest z chłopów“

Choć co dadzom:  
ino te ciarachy twarde  
trzaby stać i walić w morde...

Ksiądz, aczkolwiek również wykazuje rozwinięte poczucie własnego interesu, jednak próbuje wskazywać młodej parze także jakąś wyższą, ponad dążenia osobiste, mającą z nich i ponad nie wyrastać, — „wielką rzecz“. Spotyka się z żywym sprzeciwem pana młodego i kończy ostrzeżeniem: „A jak kto ręką sięgnie po co, a nie dostanie?...“

Szczególnie wyraziście już w pierwszym akcie zarysowuje się egoizm stanowy u męskiego przedstawiciela młodych włościan, ważnej w dramacie figury, drużby-Jaśka. W głowie ma tylko stanowe wyniesienie przez kontakt z „panami“, naprzód towarzyski na weselu:

Ja bo się panienką pieszcze,  
jak jakim świętym obrazkiem.

albo też nawet zgōła inaczej i o wiele poważniej. Stwierdziwszy że „te panny to z nas ino kpiom“, śpiewa Jasiek, niezmiernie doniosłą w budowie dramatycznej *Wesela*, taką piosenkę:

Zdobyłem se pawich piór...  
pawie pióra ładne,  
pawie pióra kradne:  
postawie se pański dwór!  
Zdobęde se pański dwór,  
wywleke se złota wór:  
złoty wór wysypie  
ludziskom przed ślipie:  
nakupie se pawich piór!

Tutaj asystujemy przy narodzinach jednego z najważniejszych symbolów *Wesela*. „Pawie pióra“ — to bynajmniej nietylko ogólno-ludzka próżność i błyskotliwość. To zarazem próżność, ale przedewszystkiem konkretny, egoistyczny interes osobisty, oraz stanowy, w pierwszej linii chłopów młodych, a także i szlachty.

Wobec tak ponuro, egoistycznie zarysowanego na weselu bronowickiem wzajemnego stosunku stanów, kryjącego

tragiczną sprzeczność interesów i dążeń, Wyspiański wysuwa pod obopólnym owych stanów adresem jakby sygnał ostrzegawczy. Ów sygnał zostaje nadany przez rzeczywistość nie mniej realną niż współczesna, ale już minioną. Rzeczywistość to straszliwa: wspomnienie rzezi galicyjskiej, dokonanej w r. 1846 na szlachcie przez chłopów pod przewodem Szeli. Starszy chłop, ojciec, odżegnywa się od złego wspomnienia dziadowskiego w sposób dwuznaczny: „Nie wódź nas na pokuszenie, Panie Jezusie“ i bodaj głównie dlatego, że i dla chłopów wynika stąd „strasno podobno cholera“. Ale dziad „kracze“, iż

Hań kreślicie krzyż daremno!  
Na czołach, jakby znaczone,  
plamy czarne i plamy czerwone.  
Odbywało się w czas zapust.

Tożsamo wspomnienie nawiedza potem weselników inteligentnych, gospodarza i pana młodego, niespodzianie wynurzając się z pośród osobistej ich weselnej uciechy:

Stroimy się w pawie pióra..  
Myśmy wszystko zapomnieli  
o tych mękach, nędzach...

Dziennikarz i poeta reprezentują w budowie dramatu intelekt, oraz uczucie twórcze współczesnego pokolenia polskiej inteligencji. Dlatego ważne są w pierwszym akcie zarówno ich wynurzenia wzajemne, jak z gospodarzem i panem młodym, oraz zetknięcie z Czepcem. Nie mam niestety możliwości zagłębiać się tu bliżej w charakterystykę tych postaci. Zaznaczę tylko, że dziennikarz i poeta mają stosunkowo wysoki ton duchowy, który jednak stanowczo nie dorasta do zadań, jakie wielka sprawa narodowa wysunęła na tle rodzinnego zbliżenia stanów w weselnej chacie. Poeta, aczkolwiek z natury mniej sceptyczny od dziennikarza, podchodzi do podstawowych zagadnień narodowych od strony fantazji literackiej:

Taki mi się snuje dramat  
groźny, szumny, posuwisty,  
jak polonez..  
Bohater w zbroje, skalisty,  
przytem historja wesoła  
a ogromnie przez to smutna.

„Wesołość“ weselników w *Weselu* jest istotnie tragiczna... Poeta marzy nawet o bohaterstwie i ofierze, ale w stylu półfałszywego klasycyzmu, koturnowego, melodramatyzującego patosu (Corneille, Racine, albo Alma Tadeusza, Kotarbiński, ale nie śmierć Petronjusza w *Quo Vadis*). Toteż koniec końców, określa się poeta, jako: Pan żórawiec...

Złatam, jak się ma na lato;  
buduję se gniazdo z róż,  
ciulam słomę z waszych strzech...  
rozpatruję okolice:  
daleko, czy blisko burz? —  
Rośnie wtedy wszystko u mnie,  
jak na próchnie, jak na trumnie,  
pełno wszelakiego ziela,  
które słońca żar aż spopiela... .

Oczywiście mowa tu o trującej dekadencckiej sztuce. Na sąsiedniej zaś stronnicy słyszy poeta od Czepca słynne *verba veritatis*:

Ptok ptakowi nie jednaki...  
Nie polezie orzeł w..., —  
pon jest taki, a ja taki...

Żydzi w akcie pierwszym reprezentują z jednej strony pierwiastek trzeźwej obserwacji, z drugiej zaś jeszcze dalej niż u Polaków posuniętą praktyczną interesowność w ich współdziałale w rzeczywistym życiu polskim. Jako obserwator tedy, żyd karczmarz, ojciec Racheli, bez ogródek pali panu młodemu taką prawdę:

Jak będzie każdy patrzeć przed nos swój,  
może co z tego będzie na inkszy raz...  
No, pan się narodowo bałamuci...  
Pan to przecie jutro zruć — ?

Jednym z najważniejszych momentów dramatu jest duchowy konkubinat poety z Rachelą. Z tego bowiem nieprawego związku poezji z utylityzmem, zawartego pod lucyferycznym błogosławieństwem estetyzujących żądź, powstaje ów najosobliwszy, realistyczno-poetycki, romantyczno-pozytywistyczny, trzeźwo-czarodziejski, ujemno-dodatni płód, zwierciadło i prawda życia polskiego, jeden z dwóch naczelných symbolów *Wesela* — Chochoł.

Rachela wprowadza w skłóconą, poetyzującą, a zarazem

egoistycznie przyziemną atmosferę duchową *Wesela* ton, jeszcze namiętniej wyzyskujący nastroje poetyckie dla osobistego użycia, zwłaszcza zmysłowego:

I czegoż pani życzy?  
 Miodu, rozkoszy, słodczy  
 miłości, roznamiętnienia  
 i szczęścia...  
 A gdyby tak szczęście łaskawsze  
 pożaliło się jej biedy?  
 Przestałabym marzyć wtedy...

Dodajmy: „bo demoniczne marzenie narodziłoby się wtedy ze mnie jako rzeczywistość“. Jaskrawiej, niż ktokolwiek z pośród cielesnie żywych postaci *Wesela*, kojarzy ta żydówka w swojej kakofonji psychicznej egoizm, utylitaryzm, zmysłowość, trafne poczucie rzeczywistości i literacką wyobraźnię. Taki bigos cech psychobiologicznych przedstawia na tle rzeczywistości polskiej wysoką potęgę witalistyczną, czynnik wzmagający odporność żywiołu życia w walce o byt. Poeta przyjmuje od narzucającej mu się na miłośnicę Racheli „list i klucz“ i łączy swój wysoki, poetycki żórawi lóć z jej żądzą zmysłowo-estetyzująco-trzeźwo-utyliitarystyczną. Poeta kojarzy się z Rachelą słowami:

A włócz się poezjo, włócz,  
 od komory, do komory,  
 od ogrodu róż  
 do sadu tych śpiących drzew...

„Poczęcie“ owego pomiotu staje się w słowach poety:

Jak pójdzie panienska...  
 to jej tęsknota i żal  
 udzieli się przyciętej słomie,  
 a z krzaka smutek i cień  
 udzieli się nieświadomie  
 panience...

Poczem następuje dialog, godny zalotów królowej Saby z Salomonem. Poeta mówi:

Ujrzę panią rad,  
 błądzącą przez mroczny sad...  
 pochyloną nad chochołem...  
 gdy ja będę w cieple stać

Na co Racheli odpowiada:

No, nie trza się o mnie bać;  
nie przeziębi najgorszy mróz,  
jeżeli kto ma zapach róż:  
owina go w słomę zbóż,  
A na wiosnę go odwiążą  
i sam odkwitnie

Oto są w *Weselu* — narodziny Chochoła. Z nich jasno wynika, że w samej Racheli, jako najbliższej rzeczywistości i najbardziej żywiołowej przedstawicielce estetyzującego pokolenia inteligencji, tkwi pierwiastek dodatni „zapach róż”, pozwalający mieć nadzieję odkwitnięcia, jeżeli jednak znajdzie się ktoś, kto krzak róży „na wiosnę” odwiąże... Wartości witalistyczne dodatnie przejawiają się też w innych cielesnie żywych postaciach *Wesela*. W tę wszakże ciemną i zimną noc dziejową niewoli muszą być spowite w szpetne chochoły nienawistnych Wyspiańskiemu i utrudniających wyzwolenie nastawień psychicznych społeczeństwa.

Te cechy są koniecznością ujemną, wpływającą z faktu niewoli, faktu współżycia z cywilizacją wielkomiejszczańską XIX stulecia, oraz z faktu dziedzicznego obciążenia grzechami przeszłości, ale zarazem w pełnej mierze stanowią one wyraz przystosowania do trudnych i wrogich warunków niewolnego istnienia. O tyle też, z wielkimi zastrzeżeniami, przyznaćby im można rolę pałuby słomianej, która w Chochole chroni jego część istotną i bezwzględnie dodatnią — róży krzak. Zatem złożony chochołowy symbol posiada charakter dodatni, głównie, jeśli nie wyłącznie, przez ów chroniony ale i skępowany — róży krzak. Do pałuby, w danych warunkach historycznych koniecznej i nieuniknionej, zaliczyćby można owe cechy ujemne społeczeństwa weselnego, które najsilniej paraliżują jego zdolność świadomego, dodatniego dziejowego czynu. A więc dekadentyzm duchowy wobec terażniejszości, wobec przeszłości, oraz wobec sztuki. Także egoizm stanowy i osobisty, dziedzictwo grzechów przeszłości historycznej. „Róży krzak” natomiast obejmowałby w pierwszym rzędzie i jako rdzeń najistotniejszy, choć najpierwotniejszy — moc biologiczną obu zasadniczych instynktów żywiołu życia: instynktu samozachowawczego

i zachowania gatunku; w drugim rzędzie pozytywistyczny realizm życiowy, w trzecim - duchową moc twórczą, taką jaką spływa na naród od dodatniej strony matejkowskiej rzeczywistości minionej. W „róży krzaku“ z czasu niewoli te dodatnie pierwiastki bytu narodowego, oprócz najpierwotniejszych, pozostają uśpione snem zimowym.

W całości swej wzięty Chochoł istotnie odpowiada rzeczywistości polskiej w „noc ponurych wichrów łkań“, która go na świat wydała. Rzeczywistość ta wprawdzie zawiera w sobie żywy rdzeń nadziei, ale zarazem wypełnia niepokojem, trwożą, męką i walką duszę Wyspiańskiego o to, kto i jak zdolnym mógłby się okazać do odegrania „na wiosnę“, wobec chochoła polskiej rzeczywistości niewolnej, roli gospodarza, który z pod słomy uwolnił „róży krzak“? Kto mógłby wielkim świadomym czynem wyzwolić uśpioną, podświadomą moc dziejowo - twórczą narodu? Że to jest konieczne, to już w chwili „poczęcia“ stwierdza chochołowa rodzicielka — Rachel. Inaczej bowiem spowicie, czasu zimy dziejowej nieuniknione, lecz nie zdjęte „na wiosnę“, mogłoby zadusić „róży krzak“, mimo całej jego mocy witalistycznej.

Tyle narazie o najistotniejszej stronie chochołowego symbolu. Wszakże ów żydowsko - poetycki, zmysłowo - estetyzujący, trzeźwo - fantastyczny, ujemno - dodatni, nadziejno - pesymistyczny płód „nocy ponurych wichrów łkań“ doniosłą odgrywa rolę jako *dramatis persona* również w innym jeszcze znaczeniu. Zrodzony podczas włóczęgi po komorach osobistego użycia poety z żydówką, nadaje się szczególnie jako narzędzie praktycznego wyzyskania artystycznej wyobraźni. Jego to mocą weselna rzeczywistość bronowicka podniesiona zostaje w akcie drugim na poziom wizji fantastycznej. Natomiast istotnie fantastycznej wizji nadana zostaje tak potężna realistyczna wyrazistość i dotykalność przejawów, że powstaje stąd nowa specyficzna płaszczyzna duchowa, na której twarzą w twarz, jako bezwzględnie sobie prawdą życiową równe, stanąć mogą terażniejszość, przeszłość i przyszłość. Taka czarodziejska moc przekształcająca konieczna była w dramacie na to, ażeby, stwierdziwszy ujemny stosunek pokolenia współczesnego do współczesnej rzeczywistości, jego niemoc twórczą wobec wielkich

widoków, zawartych w bronowickim weselu, — zkolei skonfrontować duchowo toż pokolenie z rzeczywistością minioną, oraz tą przyszlą, oczekiwaną i upragnioną. Chodziło Wyspiańskiemu o artystyczny eksperyment, któryby stwierdził, że współczesne mu pokolenie, niezdolne do podjęcia wielkich zadań w terażniejszości, nie mogłoby również okazać się godnem wielkiej przeszłości i wielkiej przyszłości, nie mogłoby zatem skutecznie związać ich pomiędzy sobą. Zamiar ten wprowadza artysta w czyn mocą organicznego stopu wyobraźni z realną prawdą bytu — w chochole. Przedstawia postawę duchową współczesnych w jej całokształcie wobec rzeczywistości trojakiej: bieżącej, minionej i przyszłej.

### 5. Grunwaldzkie duchowe starcie.

Akt drugi otwiera, jak wiadomo, Chochoł oraz Isia, dziecko, które go nie rozumie i wypędza. Chochoł wyczarowuje na scenę rzeczywistość minioną. Naprzód zgodnie z naturą weselników przedewszystkiem ściśle osobistą — zmarłego narzeczonego Marysi. Następnie zaś kilka monumentalnych postaci dziejowych, psychicznie symetrycznych wobec szczytów społeczeństwa weselnego.

Są to postacie dodatnie oraz ujemne. Wszelako zarówno sam fakt ich wprowadzenia na scenę przez witalistycznie dodatnią siłę symboliczną Chochoła, jak niemniej ich własny, plastyczny i dramatyczny charakter, wyłączają dla nich rolę kompozycyjnego negatywu w dramacie. To nie są „chorobliwe fantasmağorje romantycznej wyobraźni“, jak chce wielu pozytywistycznych interpretatorów *Wesela*. To matejkowska realistyczna wizja przeszłości i przyszłości w całej potędze swojego tragicznego majestatu staje twarzą w twarz z pokoleniem Wyspiańskiemu współczesnem, pozywa je na sąd Boży, na wielką próbę hartu i miary duchowej. Wszystko, co w tych scenach odnaleźć można jako rodem pochodzące np. z *Teki Stańczyka*, lub *Poetycznych młodzieńców* Szujskiego, służy jedynie dla zdruzgotania i zmiażdżenia postaci cieleśnie żywych przez potęgę duchową postaci wskrzeszonych. Taka jest myśl przewodnia owych scen.

Nikt bodaj z interpretatorów *Wesela* nie utrzymuje, że w jego kompozycyjnej budowie rolę ujemną „chorobliwej

fantasmagorji“ odgrywa Stańczyk. Nietylko dlatego, że na wesele zstąpił on żywcem z płótna Matejki, na którym powstać ma taka, że wszelką ujemną kwalifikację wyłącza, tak w ogólności, jak zwłaszcza u Wyspiańskiego. Ale niemniej również dlatego, że on to w pierwszym i najbardziej w oczy się rzucającym starciu ideowym z czołowym przedstawicielem polskiego współczesnego intelektu, z dziennikarzem, ściera go na miazgę i obraca w proch. W usta Stańczyka, „zawodowo“ zgryźliwe i sarkastyczne, włożył Wyspiański zasadniczy pozytyw ideowy w stosunku do rozkładowego sceptycyzmu dziennikarza. Ów pozytyw dosięga szczytu we wspaniałej inkrustacji plastycznej, temiż samymi „błazeńskimi“ usty wstawionej w tę samą scenę: w poetyckiej reprodukcji złocisto - purpurowego *Dzwonu Zygmunrowskiego* Matejki. Wobec niego negatyw stanowi, przepiękna również w pesymistycznych kirach, czarno - purpurowa elegja niewoli dusz polskich: „Moja krew, moja krew...“ Obie partje tej sceny, intelekt rzeczywistości współczesnej, oraz intelekt rzeczywistości minionej, wyposażone zostały w tak wstrząsającą potęgę dramatycznego wyrazu, iż wykluczona jest pomiędzy nimi estetycznie i logicznie, jakakolwiek nierównorzędnosc pochodzenia, jakiegokolwiek zasadnicze uposledzenie rzeczywistości wizyjnej wobec rzeczywistości realnej. Tem bardziej wobec wielkiej przewagi Stańczyka, wobec jego najwyższego zakazu, aby

Świętości nie szargać,  
bo trza, żeby święte były!

Wobec ostatnich wreszcie stańczykowych, jak puginały w pierś polskiego naczelnego inteligenta wbitych morderczych słów:

Mąć tę narodową kadź,  
serce truj, głowę trać!  
Na Wesele! Na Wesele!

Nie dziw, że dziennikarz czuje się zdruzgotany:

Och w okropnej jestem poniewierce  
po torturach mię duchowych włóczę...

Herezji pozytywistycznej o „fantasmagorjach chorobliwej wyobraźni“ najwięcej fałszywego pokarmu dostarczyła może następna scena, drugie zrzędu starcie bojowe duchów



rzeczywistości cieleśnie żywej z duchem rzeczywistości mionej, lecz wskrzeszonej. Scena ta bowiem, pomiędzy rycerzem a poetą kończy się zdemaskowaniem rycerza, jako okrytego zbroją kościotrupa śmierci. Stąd zbyt prostolinijny wniosek, że przeszłość to śmierć, zabójcze tchnienie grobów.

Gruntownie błędnej interpretacji powyższej Wyspiański nie jest winien. Jego obraz jest w swoim realizmie wizyjnym równie wyrazisty, jasny, potężny i wymowny, jak *Grunwald* Matejki, z którego na scenę *Wesela* zstąpił ów rycerz pod przyłbicą. Ujemny stosunek autora do wizyjnej rzeczywistości *Grunwaldu*, jako wielkiego dziejowego czynu jest równie wyłączony, jak do wielkiej myśli dziejowej w osobie Stańczyka. Przypuszczenie, że rycerz grunwaldzki może być dla Wyspiańskiego „chorobliwą fantasmagorją“ jest takim samym absurdem, jakgdyby ktoś chciał utrzymywać, że Matejko w *Bitwie pod Grunwaldem* kierował się tendencją, pokrewną tej, z którą Cerwantes pisał *Don Kichota*. Obraz Wyspiańskiego jest od obrazu Matejki tylko o tyle bardziej złożony i mniej jasny, o ile na jego akcję wpływ decydujący wywiera rzeczywistość współczesna w osobie poety.

Proszę tylko, należycie frazując, odczytać pierwszą partję sceny z rycerzem, a nikt ani na chwilę nie będzie wąpił, że to ziemia drży i ugina się pod kopytami ogromnych rumaków bojowych, niosących na grzbietach zastępy posągów z żelaza, że to uderzył nam w twarz wielki wichur twórca dziejów, że to naprawdę

... grom,  
zatrząsnął się cały dom.  
Upomina się o swoje Umarła.  
Szumem, gwarnością, zawrotem,  
idzie ku nam z powrotem...

Że to naprawdę przed obliczem poety stanęła „umarłej zmartwychpowstała, a więc żywa Moc“ i poetę, serce rzeczywistości współczesnej, wzywa, by z oną Mocą stał się jedno, by wraz z nią, jako jej równy i godny, przyodział pancerne blachy i „pochwylił kopiję i przeszedł“... Owa Moc bowiem to zarazem Zwiastun Świtu, co mówi:

wracam do dom w noc szczęśliwą,  
w noc ponurych wichurów łkań.

Niosę dań, orężną dań...  
 przeparfem trumniska wieko,  
 czas bym wstał, czas bym wstał...

Tak więc w tej scenie w obliczu poety staje bynajmniej nie śmierć, lecz życie, minione, a wskrzeszone. Lub raczej takie życie, co pragnie, pożąda być wskrzeszonym o świecie zmarłych wstania i połączonym z przyszłością poprzez twórczą moc teraźniejszości. Życie minione na miarę olbrzymów mogłoby zostać wskrzeszone i wcielone w rzeczywistość jedynie przez duchy współczesne równej dawnym miary.

I tu właśnie spoczywa węzeł tragiczny tej sceny. Poeta, serce teraźniejszości, jest wprawdzie ptakiem wysokiego lotu, lubiącym i patrzeć daleko i kwilić tęsknie nad bólem własnym. Poeta lubi bohaterską pozę, poeta śni w pierwszym akcie i taką śmierć, którąby rodziła Moc i takiego dawnego rycerza

w pełnej zbroi,  
 co niczego się nie lęka..  
 a serce mu z bólów pęka  
 a on, z takim sercem w zbroi,  
 zakłęty, u źródła stoi  
 i do mętów studni patrzy  
 i przegląda się we studni.  
 A gdy wody czerpnie ręką,  
 to mu woda się zabrudni..  
 więc mętów czerpa ze studni..

Jednak poeta, choć ptak wysokiego lotu, nie jest, jak z tych jego skłonności widać, orłem, co to nie polezie w... byle co... Poeta sam stwierdza, że jest tylko wątlwym żórawiem. To też, gdy rzeczywistość Grunwaldu mocą chochołowego skojarzenia fantazji twórczej z realną koniecznością życia wskrzesza wobec poety naprawdę, gdy to już nie „taki mu się snuje dramat, groźny, szumny, posuwisty“ ze skalistym bohaterem w zbrojej, ale rzeczywisty olbrzym pancerny przysunął się do poety twarzą w twarz i żąda odeń, bu mu i duchem i potęgą prawicy dorósł, to wówczas w odpowiedzi daje się słyszeć tylko żałosny klekot ptaka żórawia:

Łzy mnie pieką, łzy mnie pieką,  
 czemu bym ja tam być miał?

Serce poety okazuje się tą mętów pełną studnią, z której

rycerz w męce zaczerpnąć pragnie, ale zaczerpnąć nowego życia nie może, bo tam są właśnie tylko męty.

W całym *Weselu* niemasz sceny, w którejby wielkie zadanie powiązania wielkiego życia minionego z wielkim życiem przyszłym poprzez wielkie życie teraźniejsze, załamało się tak rozpaczliwie w psychice współczesnego polskiego pokolenia, jak w scenie pomiędzy rycerzem a poetą. Poeta trzepoce się ze strachu, jak kurczak przychwycony żelazną ręką rycerza. Nie dziw, że to przerażone serce kurczęcia, lub choćby żórawia nie jest w stanie ożywić Ducha i Mocy Grunwaldu. Natomiast łatwo oddaje mu się to słabe serce w niewolę, pozwala się związać, chociaż go nie ożywia. A Grunwald, nieożywiony duchową z nim równorzędnością jego wielbicieli to właśnie tylko kult grobów... śmierć.

Jak nigdzie w całym *Weselu*, tak wyraźnie w tej scenie zarysowana została rozstrzygająca doniosłość postawy duchowej współczesnego pokolenia dla twórczego, lub nie-twórczego stosunku do przeszłości. Można z niej czerpać moc życia, albo martwość śmierci, zależnie od tego, z jaką się do niej własną duchową przystępuje siłą.

## 6. U jądra gęstwiny.

Dziennikarz jest mózgiem kanclerskim cieleśnie żywej rzeczywistości polskiej. Wyspiański nie zaszczyca go rozmową z Janem Zamojskim, lecz ze Stańczykiem — królewskim wprawdzie — ale bądź co bądź, błaznem. Stańczyk to sam drwiąco w początku rozmowy podkreśla. Poeta winienby być wielkim hetmanem serc cieleśnie żywej rzeczywistości polskiej. Wyspiański nie zaszczyca go rozmową z Zyndramem z Maszkowic, ani z Zawiszą z Garbowa, lecz tylko z szeregowym, choć pasowanym, towarzyszem grunwaldzkiej mocy tworzenia dziejów przez wielki świadomy, narodowy czyn.

Gdy, mimo tej nierównorzędności osobistej pomiędzy przedstawicielami życia, które minęło, oraz rzeczywistości, która trwa, kanclerski mózg dziennikarza wychodzi ze starcia zdruzgotany, a hetmańskie serce poety, nie dotrzymawszy ciosu kopji, strącone z wysokiego łęku, na arkan

schwytane, zduszone i zdeptane, zapadło we „Śmierć i Noc“ —  
wówczas w weselnej tragedji ponownie

padł grom,  
zatrząsnął się cały dom,  
Upomina się o swoje Umarła!...

Ino, że już nie pofo, by z „szumem, gwarnością, zawrotem iść z powrotem“ ku życiu, lecz pofo, ażeby ono nędzne życie współczesne pochłonać i pociągnąć ku sobie w grób. Gorzej nawet, bo w chrześcijańską „śmierć wiekuistą“. Oto zniewolonego, strąconego przez impet grunwaldzkiej zmartwychpowstałej mocy ptaka żórawia, wielkiego hetmana serc Polski niewolnej, luzuje niejako hetman polny, inny poeta, jeszcze słabszego lotu — pan młody. A temu rzeczywistość minioną ukazuje już wręcz maskę potępińczą, podjętą z samego dna starych zbrodni, maskę Hetmana o nazwisku Branecki... Zawitał teraz do weselnej chaty, jako do domu swego:

Piekielna mnie dziś gospoda...  
Potańcujemy w gospodzie...

Na krzyk pana młodego: Jezu! odzyskuje piekielny Hetman chwilę wytchnienia od rzeszy szatanów, która go szarpie i może zaofiarować panu młodemu pałac piekielne złoto, zapłatę za zdradę kraju. Piekielny dar nie zostaje wprawdzie przyjęty. W odpowiedzi pan młody uderza w ton stańczykowskiego urągowiska zbrodni minionej, poczem osuwa się w bezwład zwątpienia, oraz odwraca ku egotyzmowi: Dzisiaj to mój dzień miłości! Na to Hetman:

Polski nie żałuj,  
jesteś szlachcic, to się z nami pocałuj,  
jesteś wolny!

Interes stanowy i osobisty wynosi zatem ponad interes kraju. A ponieważ na weselu to się rzeczywiście w wielkiej mierze już stało, przeto w moment później powracający do „piekielnej gospody“ w weselnej chacie szafański chór próbuje ogłosić Hetmana jej władcą:

Złoty pan, weselny pan,  
pójdź-że w tan, dalej w tan:  
na Weselu hula Śmierć?...

Pan młody, którego uratowało nieprzyjęcie piekielnego złota, ucieka z chaty weselnej zaczerpnąć powietrza, tchu. Luzuje go dziad, chłop stary, któremu piekło zkolei nasyła krwawego upiora Szeli, zdobnego w austriackie ordery. I ten woła, że zdobył prawo obywatelstwa na weselu:

Ja weselny, ja weselny...  
„A stało się to w zapusty“...

Dziad odżegnuya się, ale napróżno, bo upiór wyraźnie szydzi:

Gadu, gadu, stary dziadu...  
podź tańcować, bośma brać!...

Roztańczona, pijana żądza osobistego zysku i użycia, chata weselna zesunęła się w tym momencie tragedji od wskazywanych jej przez Stańczyka i Rycerza wyżyn chrześcijańskiej duchowej mocy twórczej bezpośrednio poprzez wrota piekieł.

Zdawałoby się, że już nic jej nie powstrzyma od jednego jeszcze kroku dalej, po którym *lasciate ogni speranza!* Śmierć doczesna i wiekuista ciała i duszy narodu. W tej jednak chwili najstraszliwszej zjawia się na scenie Jasiak, Kasper i Kasia. Jest to naga, dzika, zwierzęca, amoralna, sobótkowo-poliandryczna, brutalna chuć płciowa. Jest to nieświadomy, ślepy, ale przepotężny żywioł życia doczesnego, który się przeciwstawia śmierci doczesnej, a tem samem pośrednio i wiecznej. Ta pierwotna, pogańska, chłopska chuć, staje się znowu ową studnią, pełną mętów, z której wprawdzie grunwaldzka duchowa moc twórcza życia nowego zaczerpnąć nie może, ale która posłuży jako ożywcze źródło mocy, przetrwania, jako ratunek przed śmiercią doczesną w grzechu, wiodącą do śmierci wiecznej. Przez tę chuć wydziera się życie całego towarzystwa weselnego z objęć zatracenia, odradza się z niej, jak młode pędy z głęboko zakorzonego w ziemi pnia. W bezpośredniem sąsiedztwie moralnego poziomu sceny chutnej znalazł się wprawdzie naprzód Nos-Przybyszewski (sztuka dekadenccka), ale głównie od strony chuci pijackiej. Po nim zaś piętrzą się jedna na drugiej sceny erotyczne o poziomie coraz wyższym, weselnego szczęścia państwa młodych, lekkiego flirtu „w stylu skrzydełkowym“ pomiędzy dziennikarzem a Zosią. „Hetman

polny" (pan młody) oraz kanclerz (dziennikarz) czerpią z tych źródełek orzeźwienie po ciągach transcendentalnych przed chwilą doznanych... Otrzeputają się jak psy, strącone zniecka do wody, którym się udało na brzeg wydostać. Odżywa wreszcie z tego samego pnia i sam wielki hetman serc weselnych, strącony z żórawiego pegaza w „grunwaldzkim duchowym starciu” — poeta.

Jawi mu się ponownie Chochołowa mać — Rachel „jak płomieniste widziadło...”

Byłam w ten szal owita cała  
i w świetle ode drzewi, ot tak...

Jaskrawy szal — dźwiękowo i wzrokowo, natura zaś zmysłowa Racheli — rzeczowo, narzucają tu czytelnikowi wizję rudowłosej, nagiej amazonki wspaniałego *Szafu* Podkowińskiego. Z właściwym sobie trafnym odczuciem rzeczywistości Rachel już zauważyła, „Że się tu zaczyna coś dziać...” i dlatego do chaty weselnej powraca. Co się właściwie dzieje, z tego Rachel narazie niedokładnie zdaje sobie sprawę: „Tak bardzo ciemno! ...Ktoś wyrwał krzew różany... Ktoś połamał chochoła?..” I polska rzeczywistość żywa i sama siłą żywotna polskości pogrążone są w odmęcie wielkich przełomów.

Odbywa się wielkie darcie  
piór wszelijakiego drobiu:  
grunwaldzkie duchowe starcie,  
leczą pióra orle, pawie, gęsie,  
wneń ujrzymy husarję i króla...

Tak mówi poeta, a Rachel, znowu z trafnym odczuciem rzeczywistości, przyznaje wprawdzie, że „Chata stała się rozkochana w polskości...” Ale zarazem utrzymuje, że to jest tylko „atmosferyczna zmiana... Żar, co się na powietrzu spala, jak garść lnu...” Przyznaje zresztą potem Rachel, że w każdym razie, w owej przynajmniej chwili, do chaty weselnej nadciągać się zdaje „przedziwna, przedziwna Moc...”

Ta ponowna kopulacja dusz naturalnych rodziców Chochoła (polskiej rzeczywistości niewolnej) na poziomie przezeń wyniesionym do równi z rzeczywistością minioną (co właśnie spowodowało fatalne grunwaldzkie starcie duchów),

to ponowne skojarzenie wyobraźni twórczej z utylitaryzmem na podłożu zmysłowej siły witalistycznej, znowu otwiera chatę weselną (co już się przekształcała w „piekielną gospodę”) na przyjęcie „husarji i króla”. Bezpośrednio po rozmowie poety z Rachelą obwieszcza Kuba:

Jakiś pon, jakiś pon,  
zsiadają z siwka w podwórzu;  
koń ogromniec...  
A pon musi wielgi być:  
ubiory na nim czerwone,  
(purpura królewska Ducha narodu).

W tym głębokim ośrodku tragedji ujawnia się wyraźniej niż gdziekolwiek natura, sposób, oraz zakres działania tych sił, które w Chochole (albo raczej w „róży krzaku”) zawarte, mogą chronić i ocalić byt narodu, a które szczególnie nie do zastąpienia były podczas dziejowej „nocy ponurych wichrów łkań”. Najistotniejszą pośród nich stanowi sam niepożyty, przemożny żywioł życia, instykt zachowania gatunku. Jego funkcja jest ograniczona. Może on ocalać raczej tylko biernie. Wyzwolenie i rozkwit wszechstronny istoty ludzkiej i narodowej może przez te siły pierwotne być poprzedzany i przygotowany. Ale przeprowadzony bez twórczej mocy ducha być nie może. Aby ją zaś w krzaku róży z pod chochołowego spowicia wyzwolić, na to konieczny jest „na wiosnę” gospodarski władczy i świadomy czyn.

## 7. Rozmowa władców.

Przystępując do najzłośliwiej przez pozytywistyczną interpretację wypaczonej postaci Wernyhory, należy przede wszystkim stwierdzić, że oryginał (wersja I pochodzi z r. 1875, kopja znajduje się według scenarjusza w izbie weselnej) wespół z *Kazaniem Skargi*, oraz *Rejtanem* należy do tej szczytowej grupy arcydzieł Matejki, która w malarstwie polskiem i światowem zajmuje miejsce równorzędne i analogiczne z *Improwizacją Konrada* oraz *Widzeniem księdza Piotra* w poezji.

Wszystkie te trzy utwory, Skarga, Rejtan i Wernyhora, wybiegają z przeszłości w przyszłość. Pierwsze dwa, przez

skojarzony w nich z apoteozą wielkiego dziejowego czynu i wielkich dziejowych postaci moment tragicznie ostrzegawczy, Wernyhora zaś przez moment tragicznie dodatni, a ponadludzki, wieszczący już nie klęskę, jak dwa poprzednie, lecz Zmartwychpowstanie narodu. Imputować tedy Wyspiańskiemu, uczniowi Matejki, wielkiemu malarzowi i dramaturgowi, pomysł użycia Wernyhory w *Weselu*, jako postaci kompozycyjnie ujemnej, jako „chorobliwej fantasmagorji romantycznej“, której głównem przeznaczeniem miałyby być funkcja *repousoir*’u dla pozytywistycznych wartości, dających się zrekonstruować z dialogu pomiędzy żywymi postaciami a temi właśnie „fantomami“, — imputować coś podobnego Wyspiańskiemu można tylko na podstawie grubego z twórcą *Wesela* nieporozumienia. Nieporozumienie polega na tem, że się nie odczuwa i nie spostrzeża, jak dalece te właśnie „chorobliwe fantasmagorje“ druzgocą i obracają w proch moralny postacie cieleśnie żywe. Tem samem dodatkowe jeszcze druzgotanie tychże postaci żywych przez samą z ich strony skłonność czy zdolność do ewokacji „fantomów“, które je właśnie ścierają w proch, staje się nie tylko kompozycyjnie zbędne, ale wprost szkodliwe, bo przeczyłoby samo sobie.

Wreszcie, co najważniejsze, imputować Wyspiańskiemu chęć parodjowania wielkich postaci dziejowych Matejki z Wernyhora na czele, znaczyłoby toż samo, co dopuszczać myśl parodji Konrada z III części *Dziadów* przez Ujejskiego, Konopnicką lub Kasprowicza. Namiętne ze strony pozytywistycznych interpretatorów polowanie na „subtelną ironję“ w pośród najtragiczniejszych ostępów, najbardziej symbolicznych uroczysk i najekstatyczniejszych wizyj malarskich *Wesela* graniczy z obserwacją estetyczną, zwłaszcza że w artystycznych uzdolnieniach Wyspiańskiego ironja, humor, żart zajmują nie więcej miejsca niż u Matejki.

Malarska postać Wernyhory łącznie z jego koniem, strojem i akcesorjami, to zjawia dekoracyjna pośrednia pomiędzy tragicznym starcem Matejki, a samego Wyspiańskiego teatralnemi, monumentalnemi kreacjami w rodzaju Bolesława Śmiałego. Koń przypomina wspaniałego demona z *Szału Podkowińskiego*, tylko że siwy (bo służy sile dobrej), „cza-

prak tkany, rozmaity, u siodła pistolców dwoje“, lira, delja pasowa, siwa broda i szerokie bary. Obraz ten jest majestatyczny i równie daleki od satyry, lub karykatury, jak królewsko-siermiężna postać Szczodrego Bolka. Mowa i zachowanie Wernyhory są tak samo „chemicznie czyste“ od charakterystyki ujemnej, jak u Stańczyka i Rycerza. I podobnie jak w scenach z nimi, tak w scenie z Wernyhora, kontrast charakterystyki dodatniej po stronie przedstawiciela rzeczywistości wizyjnej z charakterystyką bezwzględnie ujemną przedstawicieli rzeczywistości realnej — jest potężny, uderzający, krańcowy.

Pomiędzy Stańczykiem a dziennikarzem nastąpiło starcie wielkiej myśli dziejowej ze sceptyczną inteligencją współczesną. Pomiędzy Rycerzem a poetą nastąpiło starcie wielkiego uczucia i czynu dziejowego z żórawimi loty i sercami współczesnych. Pomiędzy wreszcie Wernyhora a gospodarzem następuje starcie najwyższych przeznaczeń dziejowych narodu ze zdolnością współczesnego pokolenia do czynu dziejowego w ogólności, zwłaszcza zaś i szczególnie do kierownictwa takim czynem narodowym przez inteligencję. Starcie następuje z gospodarzem chaty weselnej dlatego, bo ten inteligent zdawna pośród ludu rodzinnie osiadły, jak nikt inny z weselników, powołany zdaje się być do zsyntetyzowania ludowej mocy żywotnej z kierowniczą myślą twórczą. Za tę syntezę gospodarz jest odpowiedzialny, tę syntezę jako fakt, który powinien już być być dokonany, przypuszczają u gospodarza przybywający do niego Wernyhora. Wernyhora, Duch narodu, jest z ramienia Boskiego wspólny z Archaniołem, władcą sił dziejowych, rozstrzygających o wyzwoleniu Polski, zwłaszcza tych, które w ogniu i pożodze wojen stwarzają pomyślną, lub niepomyślną konjunkturę historyczną dla sprawy polskiej. Wernyhora łączy krwawe wspomnienie rzezi humańskiej, w której odmětach tonęła Polska przedrozbiorowa, z krwawym świtem nowych wojen, zapowiadanych przez Rycerza, jakoteż samego Wernyhora historycznego i matejkowskiego. Wojny te zdolne są wywołać świt wolności, ale Cudu Zmartwychwstania duchowej mocy twórczej narodu nie urzeczywistnią bez jego świadomego i celowego współdziałania. Dlatego konieczne jest

przymierze pomiędzy Wernyhora, władcą owych sił dziejowych raczej zewnętrznych, z władcą sił żywych, wewnętrznych narodu. Władcą tym powinien być inteligent skojarzony z ludem, gospodarz chaty weselnej, wódz do-  
czesny żyjącego pokolenia. Owe siły znajdowały się dotąd w bezwładzie z powodu rozterki stanów oraz duchowego skutkiem niej bezkrólewia. „Chwila osobliwa“ odpowiednia dla zawarcia przymierza, chwila, w której pora wydać Rozkaz - Słowo, kojarzyć musi ze sobą warunki zewnętrzne:

Słyszysz, wielki deszcz się pluszcze!  
Słyszysz, chrzęszczą wielkie drzewa  
i jako trzaskają kuszczę:  
to tam moja družba śpiewa,  
tysiąc koni grudy bije  
ze złotemi podkowami!

oraz wewnętrzne w narodzie pojednanie i uzdolnienie do wielkiego twórczego wysiłku.

Właśnie wesele uznał Wernyhora za taką okazję, w której gospodarz powinienby się stać wodzem i kierownikiem sił żywych narodu. Wzywa tedy Wernyhora gospodarza do karności, ufności, czujności i wydaje mu „trzy zlecenia“, których wykonanie nie da się pomyśleć bez objęcia władzy naczelnej w narodzie. Wernyhora powierza gospodarzowi kierownictwo wewnętrznej akcji przygotowawczej do rezyrekcyjnego narodowego pogołowia w dwóch pierwszych zleceniach, zakończonych słowami:

niech wszyscy natężą słuch:  
czy tententu nie posłyszają  
od Krakowskiego gościńca — ?  
czy już jadę z Archaniołem — ?

Natomiast zlecenie trzecie dotyczy niewątpliwie wielkiego kierowniczego czynu:

Leć kto pierwszy do Warszawy  
z chorągwią i hucfem sprawy,  
z ryngrafem Bogarodzicy;  
kto zwoła sejmowe stany,  
kto na sejmie się pojawi  
Sam w stolicy, — ten nas zbawi!

Ażeby spełnić wielki czyn dziejowy i urzeczywistnić Cud Zmartwychwstania wszystkiej duchowej i cielesnej mocy

twórczej narodu, konieczne jest nie tylko współdziałanie braterskie stanów (chata weselna), lecz również współdziałanie potężnej indywidualności kierowniczej („Sam w stolicy“ — przez duże S). Indywidualność ta ma powstać z łona inteligencji, oraz podjąć inicjatywę i przewodnictwo nad ogółem „sejmowych stanów“. Potrzebne jest również oddanie się tej indywidualności oraz ofiarne i pełne zapału z nią współdziałanie ze strony narodu. Osiągnąć je powinna potęga twórcza kierowniczego czynu owej indywidualności. Oddaje ją gospodarzowi Wernyhora — Duch Narodu zaklętą w Złotym Rogu:

Na jego rycerny głos  
spotężni się Duch,  
podejmie Los.  
Możesz nim powołać chór.  
Bratni zbór.

O jakimże to jednak czynie narodowym tutaj mowa? Rzecz jasna, że tylko o takim najwyższej, matejkowskiej miary dodatnim czynie, który epoki tworzy i dzieli, a zwraca bieg dziejów w nowe łożyska. Takich czynów miniona rzeczywistość polska przyniosła szereg świetny, a jednak w stosunku do przeznaczeń narodu niewystarczający. To Chrobrego twarde, mądre i potężne samowładztwo, to — starcie Biskupa z królem na Skałce, to — Łokietkowe zjednoczenie, Kaźmierzowe odrodzenie, Jadwigowe z Jagiełłą śluby, potomne Grunwaldem i Unją Lubelską... To Psków, to Kłuszyn i Kreml, to Wiedeń... Jedynie przez czyn tak wielkiej miary mógłby naród Świt wolności powitać Cudem Zmartwychwstania w pełni swej mocy twórczej, duchowej i materjalnej. Jedynie taki czyn mógłby „z wiosną“ wolności „róży krzak“ oswobodzić z pod szpetnego, do czasu nieuniknionego, lecz czasem coraz niebezpieczniejszego spowicia w słomiany Chochoł. A „róży krzak“ to zarazem i siła witalistyczna przyrody w narodzie zawarta i trzeźwy wysiłek pracy i walki i twórcza moc ducha, która „wiosną“ powinna zeń wykwitnąć; te siły, zimowym snem niewoli uśpione, czekają wyzwolenia „na wiosnę“. W najistotniejszym przeto rdzeniu „krzaku róży“, gdzieś na peryferji jego mocy biologicznej, oraz potencjalnej mocy duchowej, powstać musi zbawcza inicjatywa gospodarska świadomego,

twórczego, indywidualno-zbiorowego, wyzwolenczego wysiłku. Związek pożądaney, dodatniej współczyności pomiędzy naczelnemi symbolami *Wesela* możnaby przeto wyrazić następująco: o świcie wolności, lub na wiosnę, po zimie niewoli, gospodarz (inteligent skojarzony z ludem) stać się powinien tym kierowniczym władcą, który z pomocą złotego rogu (wielkiego dziejowotwórczego czynu) uwolni różę krzak z pod chochołowego spowicia, umożliwi zmartwychwstanie i rozkwit.

Bardziej jeszcze zasadniczy, niżli w środkowych scenach piekielnych i erotycznych i wogóle rozstrzygający przełom akcji tragicznej *Wesela* następuje pomiędzy Wernyhoryą a Gospodarzem, oraz po odjeździe Wernyhory, pomiędzy Gospodarzem a Jaśkiem. Na tle bowiem wskazań Ducha narodu, dotyczących przymierza z nim, a w obliczu promiennych widoków przyszłości, ujawnia się ostateczne załamanie psychiczne współczesnego polskiego pokolenia w jego naczelnym reprezentancie-Gospodarzu. Inteligent, skojarzony z ludem, powołany do tego, aby się stać wodzem żyjącej generacji w twórczym wysiłku zmartwychwstania, sprzymierzeńcem wiekuistego Ducha narodu, władcą doczesnym Polski, gospodarz okazuje się do tego posłannictwa tak samo niezdolnym, jak dziennikarz-kanclerz do zrównania się mocą ducha z królewskim mądrym błaznem, a poeta-hetman do wskrzeszenia grunwaldzkiej mocy lękiem swego żora-wiego serca. — Gospodarz się naprzód Wernyhory boi i ogłada na żonę. Potem go długo poznać, ani przypomnieć nie może. Wreszcie zlecenie przyjmuje niby radośnie, ale do tego stopnia leni się je wykonać, że ich centralne narzędzie, talizman twórczego czynu, a zarazem własnego stanowiska kierowniczego w narodzie, Złoty Róg, powierza z krańcową, zbrodniczą słabością i lekkomyślnością w ręce Jaśka. Zdaje sobie przytem doskonale sprawę, że ten róg „zsyła jasny Bóg” i że „bez tego złotego dźwięku pójdzie w niwecz cały ruch”... Jaśko zaś, jak wiemy, to w *Weselu* przedstawiciel tego młodego włościństwa, dla którego bożyszczem jest czapka z pawich piór stanowej korzyści i emulacji z panami. W tym momencie dramatu inteligencja

polska abdykuje z kierownictwa ludem i narodem na drodze do niepodległości, pozostawiając lud na pastwę jego własnej ciemnoty, lub pierwotnych instynktów egoistycznych. Od chwili tej centralnej zbrodni rzeczywiście na weselu znów poczyna nieomal „hulać śmierć“.

Dla gospodyni cały Wernyhora to wogóle nie był Duch Narodu, ale tylko widmo z piekła, takie samo zatem, jak Brancki lub Szela. Wernyhora, odjeżdżając, zgubił umyślnie, złotą podkowę, symbol osobistego szczęścia w wyzwolonej ojczyźnie. Za radą gospodyni symbol ten, na długo jeszcze przed świtem wolności, odruchowo i natychmiast wędruje na dno prywatnej skrzyni, jako najważniejszy rozmowy z Wernyhorą wynik. Nikomu jej — jak złotego rogu nie przekazano. Potem gospodarz wpada w rodzaj delirium, w którym prawi weselnikom prawdę w oczy:

lalki, szopka, podłe maski...

Nastrój? macie ot nastroje:

w pysk wam mówię litość moją.

#### 8. Krwawy świt.

Nastrojem wyjściowym i zasadniczym aktu trzeciego jest nadranne, pijackie odurzenie po nieprzespanej nocy. Jego tło zamalowuje charakterystycznymi bredniami Nos-Przybyszewski, weselny specjalista od alkoholu. Na tem tle zwolna traci świadomość usypiający Gospodarz. Wkrótce cała obecna na weselu inteligencja polska znajduje się jak tabaka w rogu, wobec nadciągającego (objektywnie i niezależnie od weselników) krwawego Świtu Wolności.

A chłopci? Pannie młodej śni się w sposób znamieny, że ją do Polski wiozą „jacyś biesi w złotej karocy“. Nie może ona wyjść z podziwu, że Polskę powinna nosić w scrcu. Świt wolności zaskoczyłby weselną chatę, pomimo wieszczych odwiedzin Wernyhory, najzupełniej nieprzygotowaną, niczego nie przewidującą i nie oczekującą, gdyby nie przypadek, dzięki któremu stary Czepiec dowiedział się o Wernyhorze od młodego Kuby. Czepcowi hasel bojowych dwa razy powtarzać nie trzeba. Mobilizuje on wkrótce pokaźną siłę kosynierską miejscową. Stacza następnie homeryckie boje na gębę z inteligencją, ażeby jej wyflumaczyć, o co

chodzi i dobić się od niej kierownictwa. Inteligencja jednak, niemal do ostatka, skłonna jest uważać wszystko, co się dzieje naokół, raczej za jakieś zjawisko literackie czy teatralne, a to pomimo ostrych reprimend Czepca. Z największym trudem, niemal w ostatniej dopiero chwili, udaje się do zapitej głowy Gospodarza chaty weselnej, powołanego, a niedoszęłego wodza narodu, wprowadzić przypomnienie nocnych odwiedzin i nakazów Wernyhory. Gdy wreszcie we łbie Gospodarza zaświtała świadomość świtu wolności i zapowiedzianego cudu zmartwychwstania, to świt ten już począł wschodzić.

Jego obraz stanowi wspaniałe, malarskie tło dekoracyjne dla tego, co się dzieje na scenie. Zarazem jest to kompozycyjny pozytyw dla tragicznego niedoślestwa weselnej rzeczywistości. Obraz rozwija się stopniowo w dostrzeganych i raportowanych przez weselników szczegółach.

Na liściach skry.  
Opalowa rosa spływa;  
przesiewa się w dyjamentach  
z drzew, jak wiszar w skalnych pętach. —

To z początku widzi i opowiada inteligencja w osobie Pana Młodego. A Czepiec na to:

Pon ino widzisz pchły,  
pchły, świecidła, rosę, ćmy  
a nie chcesz znać, co som my:  
że w nas dnieje, dusa świci,  
że nas tu jest ze dwiedzieście  
z kosom...  
i że to, to nie som sny.

Wkrótce jednak w przyrodzoną piękność świtu wkracza rzeczywistość wizyjna.

Z chmur się stawia jakby tron  
i jakieś zjawiska skrzydeł  
koło tronu...  
Całe pole pod Krakowem  
od tych kosisków się roi...

To z królewskich czy wernyhorowych wici, to nie jest „parafjalny sposób zdobywania niepodległości“, jak chce jeden z pozytywistycznych krytyków.

Ze Zorzy się zrobiła krew:  
 taki sznur krwi wydłużony  
 ponad Kraków, — krwawy pąs,  
 jakby wieża Zygmuntowska  
 miała we dwie strony wąs.  
 Ogromny przyleciał ptak,  
 hań se na ganecku siad,  
 taki ci ogromiec kruk.  
 Potem sie ze skrzydlich wag  
 uniósł, wzleciał, znowu spad,  
 potrzaskał gałązki brzóz...  
 i posed — !

Dodajmy wizję Grunwaldu w chmurach oraz „na wawelskim, zamkowym tronie Matkę Bożą w koronie, piszącą manifest do kraju, co w nim ma ducha obudzić“, a doręczony ma być przez Archanioła z Wernyhorą. To wystarczy, ażeby zdać sobie sprawę z dekoracyjnego przepychu malarzkiej wizji, oraz bogactwa i głębi jej treści symbolicznej. Wszak to jest wizja wojny powszechnej, którą oddawna poczytywano za warunek nieodzowny, za ów cud zewnętrzny, mający umożliwić odbudowanie Polski! Krwawy we dwie strony od Krakowa wąs — to wojna na północy i południu, na zachodzie i wschodzie. Ogromiec kruk, co nałamał brzóz, wahał się, przybywał, cofał i wkońcu poszedł! — to czarny orzeł pruskiej okupacji. Gołębie białe i kruki czarne, stadami polatujące nad ziemią polską, to niewinne ofiary wojny i zbrodnicze hieny, ciągnące z niej zyski. Zarówno treść tej wizji, jak jej dostojna malarska świetność, wreszcie wprowadzenie w obraz motywów religijnych, („świętości nie szargać!..“) wyłączają tu bezwzględnie, jak i wobec postaci aktu drugiego, negatywną kwalifikację kompozycyjną. Przeciwnie, jest to kompozycyjny pozytyw, negatyw zaś stanowi, jak i w aktach poprzednich, postawa społeczeństwa wobec tej wizyjnej rzeczywistości.

Tak jak w aktach poprzednich, tę postawę cechuje bezwład. Gospodarz wprawdzie w ostatniej chwili przypomina sobie, że powinienby stanąć na czele narodu, ale jest bezsilny, bowiem nie posiada Złotego Rogu. Całej gromadzie wszechstanowej nic przeto nie pozostaje, jak tylko biernie, pasywistycznie czekać, wyglądać, nasłuchiwać w naj-

wyższem zresztą naprężeniu wszystkich nerwów. Ostatni żywy okrzyk w imieniu tej gromady pada z ust siostry pana młodego, Haneczki, a brzmi: „Gdyby to Archanioł był!..“

Pierwszy wielki, tragiczny wstrząs *Wesela* następuje w chwili, gdy hetman serc żywego pokolenia Polski osuwa się w objęcia namiętnej żydówki, od niej czerpie poczucie rzeczywistości, trzeźwą myśl i silną wolę życia; z niej wreszcie płodzi w dziejową noc niewoli, w „noc ponurych wichrów łkań“, pomiot polskiej rzeczywistości niewolnej, odrażające straszdyło psychobiologicznego *mimicy* wobec epoki upadku. Straszdyło to, z nieubłaganej konieczności dziejowej, przyjść na świat musiało, przed wichrami niewoli nawet może ochrania, ale zarazem boleśnie więzi — „róży krzak“ pełnego życia rasy polskiej, staje wpoprzek jego odzyciu i rozkwitowi.

Drugi wielki, tragiczny wstrząs *Wesela* powstaje wtedy, gdy w wielkiem „grunwaldzkim duchowym starciu“ drugiego aktu, Kanclerz mózgów żywego pokolenia Polski, jako berło swej nad niem duchowej władzy, otrzymuje od królewskiego błazna kaduceus błazeński z szyderczym nkazem: „Mąć nim wody, mąć! Serce truj, głowę trać!..“ A jeszcze bardziej wtedy, gdy drugi wódz, hetman serc, jednym chwytem żelaznej prawicy towarzysza z pod Grunwaldu zostaje strącony z pegaza, schwyfany na arkan, zdeptyany na proch i pogrążony w „Śmierć i Noc“. A z onej Śmierci i Nocy uratować go zdolna się okazuje tylko najdziksza, pierwotna, cielesna chuć życia. Ona to, piętrząc się w coraz wyższe i bardziej wyrafinowane postaci, doprowadza hetmana serc do powtórnego jeszcze połączenia z płomienistym widziadłem żydówki. I współ z niem jedynie zdoła jeszcze hetman serc wywołać rzeczywistość królewskiego Ducha narodu.

A trzeci wielki, tragiczny i najgłębszy wstrząs *Wesela* wytwarza się wtedy, gdy twarzą w twarz z wiekuistym królewskim Duchem narodu postawiony Gospodarz chaty weselnej, szlachcic — mąż chłopki, ojciec potomstwa, które powinno było skojarzyć w sobie piastową żywiołową moc istnienia z husarskim orlim lotem w słońce chwały, gdy ten przewidziany władca dusz i ciał żywego pokolenia Polski, zawarte z jej wiekuistym Duchem we chwili osobliwej przy-

mierze — łamie i zdradza. Łamie i zdradza przez tchórzostwo i lenistwo, nie przez głupotę, bo wie, co w Jaśkowie nieszcześnie ręce oddaje.

A wreszcie czwarty wielki, najtragiczniejszy i najostateczniejszy wstrząs wybucha z wulkanu *Wesela* pod ciśnieniem klęsk, naładowanych weń przez wstrząsy poprzednie. Finalny ten wybuch wywołuje pseudo-rozwiązanie tragedji, tem właśnie najstraszliwsze, że niemal wszystko pogrąża, a prawie niczego nie rozwiązuje.

### 9. Bez zmartwychwstania.

Tętnił... Jedzieł...

Gonił... Pędził... Stanął, wrył...

Gdyby to Archanioł był...

Wprawne ucho wodza winno było rozpoznać, czy to cały tabun koni pędzi. A jeśli nie, to jakiego mianowicie konia tętent dobiega uszu gromady „tężącej słuch”. Niestety, ucho wodza nie było wprawne. Na podwórzec wpadł „stanał, wrył” nie ogromny „jak śnieg biały”, czerwono-złotą kapą okryty, królewski rumak bojowy Wernyhory. Najjaśniejszy jego jeździec, gestem Zyndrama z Maszkowic, nie poruszył łąnu kosisków, co we wschodzącem słońcu, krwawemi lśniąca odblaskami, całe błonie pod Wawelem zaległy. Nie pochyliły się one, wzorem husarskich z pod Wiednia kopij, na Słowo-Rozkaz królewski, nie załomotał pod tysiącami ciężkich butów chłopskich ojczysty grunt ziemi polskiej, nie poczęła pieśnią skandować biegu w nowo-grunwaldzki bój, ani rycerska *Bogurodzica - Dziewica*, ani z chłopskich kapliczek przydrożnych za ludem swym zdążająca, prostoty i łaski pełna *Zdrowaś Maryja...* To wszystko stać się tylko mogło mocą Przymierza narodu z Jasnym Bogiem. To wszystko stać się tylko mogło według manifestu Królowej z Częstochowy, co zstąpiła na Wawelski Dwór. To wszystko przekazane być narodowi mogło tylko za poselstwem Archanioła, doręczonem Wernyhorze, a zaklętem w Złoty Róg. Złoty Róg Przymierza z Bogiem i Mocy nad Losem przekazany został przez Wernyhorę spadkobiercy siermiężnych królów Bolesławów Gospodarzowi chaty weselnej. Lecz on nie zatrąbił w Złoty Róg. Przeto zostało zerwane Przymierze z Bogiem, przeto odstąpił naród Ducha nad Losem moc

i z samych piersi narodu duch niemal uleciał pośród krwawych blasków świtu wolności...

Na podwórzec zaś chaty weselnej, miast Archanioła, wpadła i ponad liche siły swoje zgoniona, zaraz padła — skąpina chłopska Jaśka z Bronowic, Jaśka od Pawich Piór, Jaśka z gołą, głupią głową, Jaśka ze słabemi rękoma, Jaśka bez Pawich Piór i bez Złotego Rogu. A gdy, porażony martwością narodu, bezsilny jego władca — Jaśko chwieje się na nogach z przerażenia, tuż za nim wtacza się do chaty weselnej, skąpanej w blaskach świtu wolności, „zakłęte słomiane straszycło“, spłodzone z nieczystych sił w dziejową noc niewoli, w „noc ponurych wichrów łkań“: to Chochół zniewolonej Losem rzeczywistości polskiej... I prawi i dopomaga Chochół - rzeczywistość głupiemu Jaškowi do wyjaśnienia sobie, jak się to stać mogło, że o świcie wolności, miast Zmartwychwstania, opadł na naród taki straszny morderczy bezwład, nieomal śmierci równy:

Copke strasny wicher zwiął...  
bez tom wieche z pawich piór;  
Tom sie chył po te copke,  
to mi może sie odwiął...  
Strasy u rozstajnych dróg...  
Pod figurą ktosik stał.

Stał chochoł rzeczywistości polskiej i ukradł Złoty Róg Zmartwychwstania w duchu do wielkiego narodowego, twórczego czynu. Mógł zaś ukraść, — jeśli już trzeba tłumaczyć na szarą prozę tę różnobarwną mowę symbolów, — mógł ukraść dzięki przewadze stanowego i osobistego egoizmu nad umiłowaniem sprawy narodowej podczas ciężkich przejść, związanych ze świtem wolności.

Oto właśnie wzbija się na niebiosa ów cudny świt: „Od sadu, od pola, we świetle szafiru, co idzie jak łuna błękitna, głosy się cisną przedrannych ptasich świergołań; niebieskie to Światło wypełnia jakby Czarem izbę, i gra kolorami na ludziach, pochylonych w pół-śnie, pół-zachwycie...“ Wobec tego czarownego świtu Jasiek reaguje tem, co w nim jest najlepsze: miłością życia. Wita zatem mistyczną Jutrzenkę wolności hymnem, który wstrząsająco tragiczną istotę położenia tak opiewa:

Juz świtanie, juz świtanie, —  
 tu trza bydłu pasze nieść,  
 trza rznąć sieczki, warzyć jeść; —  
 jakże ja se rade dam,  
 oni w śnie, — ja ino sam —?

Ton, w który tutaj uderza Jaśko, dotyczy innej strony życia, niżli ton sceny chutnej w centrum dramatu, ale jest witalistycznie niemniej podstawowy i dodatni jak tamten. I tym przeto razem ów ton, wydany przez najniższe fizjologiczne dno życia, ratuje przed śmiercią. Ów ton znajduje natychmiastowy oddźwięk w chochole rzeczywistości, należy bowiem do ukrytego w nim „krzaka róży“, do jego rdzenia bio - wegetacyjnego. W podświadomym pół - śnie, pod ciasną powłoką chochoła to życie, roślinne raczej niż zwierzęce, przetrwało dziejową noc narodu. I do tego życia, koniec końców, naród stracony na poziom umysłowy Jaśka, w jego osobie zaapelował również o świcie wolności.

Tu właśnie jednak nowa i może najokrutniejsza *incipit tragoedia*. O świcie wolności bowiem, który jest zarazem wiosną wyzwolenia, należałoby „róży krzak“ oswobodzić z pod chochołowej osłony egoizmu osobistego i stanowego, dekadentyzmu lub odwrotnie barbarzyństwa. Owa osłona stała się teraz bardziej niż kiedykolwiek szkodliwą. Wstrzymuje rozkwit wyzwolonego narodu, jego pełne w duchu i ciele zmartwychwstanie. Na to jednak rady niema i być nie może. Gospodarz bowiem chaty weselnej, do rozwiązania krzaku róży z pod Chochoła z natury rzeczy przedewszystkiem powołany, Jaškowi oddał, Jaśko zgubił, Chochoł zaś — rzeczywistość — im obu ukradł narzędzie takiego wielkiego gospodarskiego czynu — Złoty Róg.

Pośród cudownych światel wielkiego świtu wolności nie dochodzi więc do skutku jedynie ich godne „Przymierze królów“ pomiędzy wiekuistym Duchem narodu, a wodzem i władcą jego żyjącego pokolenia. Natomiast z konieczności zawiązuje się przymierze, zgola innej duchowej miary, pomiędzy Jaśkiem, bez pawich piór i złotego rogu, a chochołem polskiej rzeczywistości. W cudowne światło świtu wnosi on wprawdzie uwięziony w nim „róży krzak“ i przez to uratować może naród od doraźnej zguby. Zara-

zem jednak, w tej właśnie chwili osobliwej, krępuje on „róży krzak“, utrzymuje życie narodu, w niewoli własnych żądz i pomimo wolności zewnętrznej może je wkońcu wręcz zadusić!

„Zakłete słomiane straszidło“, spłodzone z nieczystych żądz podczas „nocy ponurych wichrów łkań“, wyrasta tedy na zbawcę życia w chacie weselnej, o świcie wolności. Szpetotę swą zanurza w jego błękitnej łunie. Jako weselny pan, wprowadza w nią oszołomioną gromadę w rytmie swej zniewolonej natury. Tłumaczy Jaškowi Pierwszy Czar. On powstał na skutek wejścia chaty w światło wolności bez złotego rogu, którymby je przyjąć i w duszę narodu przeszczepić można. Powiada Chochoł:

To ich Lęk i Strach tak wzion,  
posłyszeli Ducha głos . . .

Ażeby zaś przywrócić zaczarowanemu *Weselu* zdolność do życia, przynajmniej wegetacyjnego, oraz lunatycznego ruchu, chochoł-rzeczywistość, władca świtu wolności polskiej, rozkazuje Jaškowi rozbroić gromadę z wszelkich narzędzi wielkiego świadomego dziejowego czynu i cisnąć te narzędzia „w piwniczny loch“ zapomnienia. Wreszcie rozkazuje Jaškowi odprawić nad letargikami szydercze gusa i odmówić pacierz wspan, co wyraźnie wskazuje, że chochołowa nad narodem moc duchowo jest ujemna. Jeśli nie wręcz szafańska, to co najmniej pogańska: wiedźmowo-uroczysskowa. Cieszy się Jaško: „Zniknął czar“. Rozczarowuje go weselny pan: „To drugi CZAR“. Z rąk Chochoła słyszeć się daje „jakby z atmosfery błękitnej idąca muzyka weselna, cicha a skoczna, swoja a pociągająca serce i duszę, usypiająca, leniwa, w omdleniu a jak źródło krwi żywa, taktem w pulsach nierówna, krwawiąca, jak rana świeża: — melodyjny dźwięk z polskiej gleby bólem i rozkoszą wykołysany“. Odżywa w tej „weselnej muzyce“ życie wegetacyjne, podświadome, duchowość usypiająca, a zarazem samo skrępowane i cierpiące. Chochoł zachęca Jaška: „Tańcuj, tańczy cała szopka!“ Wobec tego wezwania przypomina się Jaškowi utracona wiecha z pawich piór. Teraz Chochoł zupełnie już przestaje oszczędzać swego bezsilnego sprzymierzeńca. Przypomina mu po

raz wtóry, w znanym refrenie, że zgubił nie tylko czapkę z pawich piór, ale z jej powodu także złoty róg, oraz że wobec tego ogołocenia z najwyższego dobra i prywatnego i publicznego „ostał mu się ino sznur“.

Sznur — to symbol dwuznaczny. Może ratować, więzić lub zadusić, podobnie, jak chochołowa słomiana powłoka, zależnie od pory, okoliczności i potrzeb „krzaka róży“. O świecie wolności wszakże sznur staje się symbolem złym. Zaprzecza jej jeszcze groźniej, niżli chochołowe spowicie, w którym gromada narodowa może jednak wegetować, obracając się jak błędna. Obraca się też nadal, pogrążona w duchowej martwocie. Wtem zapiał kur. Jaśko, ostatni szczątek świadomości, jaki jeszcze w gromadzie pozostał, a którego Chochoł najwidoczniej chce muzyczką uspić, na sygnał, załecony mu przez gospodarza do uderzenia w złoty róg, przytomnieje, przypomina sobie, że „bez tego złotego dźwięku pójdzie w niwecz cały ruch“. Jaśko tedy, który tylko co z polecenia Chochoła sam rozbroił całe koło weselne, uderza w rozpaczliwy, rozgłosny aż do zachrypnięcia krzyk:

Jezu! Jezu! zapiął kur! —  
 Hej, hej bracia, chycie koni!  
 chycie broni, chycie broni!!  
 Czeka was WAWELSKI DWÓR!!!

Napróżno. Chochołowa, ciała żywiąca, dusze usypiająca muzyczka niewoli w ciepłym spowiciu rodzimych żądź, już na tę wiosnę niepowrotnie zdołała się podstawić w miejsce złotego dźwięku, co miał spotężnić Ducha i podjąć wielki dziejowy Los. Coraz namiętniej przygrywający Chochoł, przywołuje Jaśka do posłuszeństwa, rymując mu do „Wawelski Dwór“: — „Ostał ci się ino sznur!“ — Ostatnimi przebłyskami świadomości Jasiek stwierdza jeszcze z przerażeniem, że:

Nic nie słysom, nic nie słysom,  
 ino granie, ino granie,  
 jakieś ich chyciło spanie...?!

„Dech mu zapiera Rozpacz, a przestkach i groza obejmują go martwością; słania się, chyla ku ziemi, potrącany przez zbitą krąg taneczników, który daremno chciał rozerwać; — a za głuchym dźwiękiem wodzą się sztywno pary taneczne

we wieniec uroczysty, powolny, pogodny, — zwartem kołem weselnem“.

Weselny pan coraz silniej muzyczką przemağa nad Jaśkiem. Ostatni jego, napół już nieprzytomny krzyk brzmi: „Pieje kur; ha pieje kur...“ Tę rymowało podobnie, jak „Wawelski Dwór“ do „Ostał ci się ino sznur!“ Wszakże powtórzenie we finale tych słów mogłoby (przy powstałym tutaj układzie symbolów, w którym nieszczęsny Jaśko staje się bezwładnym władcą narodu) oznaczać i zostać zrozumiane jako tegoż narodu powrotna niewola i wręcz dziejowa śmierć. Tę Wypiański nie chce, bo w Chochole, bądź co bądź, choć skrępowany, zaduszony, półmartwy, jednakże tkwi nadal żywy „róży krzak“. Rodzaj, sposób i poziom życia tego „krzaka“ uzewnętrznia się, przeniesiony w ludzkie „koło weselne“, właśnie w jego podświadomym, wegetacyjno-kataleptycznym tańcu. Jest to pół-śmierć, która w świt wolności materialnej wnosi i przedłuża dziedzictwo niewoli dusz, niemoc twórczą ducha narodu. Jest to pół-śmierć, która żywotną mocą skrępowanego przez nią krzaka róży ratuje naród doraźnie od śmierci całkowitej. W dalszych zaś tego tragicznego położenia następstwach śmiercią całkowitą zagrozić może, ale jej bezwzględnie nie przesądza.

Przechwała się bowiem Chochół: „Tę gram, tę gram, będą tańczyć cały rok!“ Rok jest to okres wegetacyjny, po którego szczęśliwym przetrwaniu, wykazawszy należyłą odporność na chochołową w wolności — niewolę, „róży krzak“ doczekać się może i nowej „nocy ponurych wichrów łkań“ i nowego krwawego świtu, i nowej wiosny. Wszystko zależy od tego, czy „róży krzak“ okaże się zdolnym jeszcze, w warunkach wtórnie przedświtowych, ciężkich zatem i trudnych, wydać ze siebie ową gospodarską świadomą siłę, któraby chochołowi wydarła skradziony przezeń Złoty Róg, rozerwała Drugi Czar, Czar jego śmiertelnej muzyczki, rozcięła szpetną słomianą powłokę, uwolniła w porę moc twórczą „krzaka róży“...

Ostatnie słowa *Wesela*, wbrew rymowi, odcinają przeto Jaśka z dziejowej szubienicy, na którejby mógł zawisnąć przy rymie: „Ostał ci się ino sznur!..“ Zamyka tragedję

groźne, karzące, ale zarazem i wskazujące stwierdzenie: Miałeś chacie złoty róg!..

## 10. Władza i Wiara.

*Wesele* jest najbardziej politycznym dziełem Wyspiańskiego. Więcej też, niżli inne utwory, dostarcza materiału dla rekonstrukcji tego ustroju państwa czy porządku życia narodowego, który wielki artysta w duszy jako swój ideał piastował. Niewątpliwie też poczytywał go za jedynie zdolny do podjęcia wielkich zadań dziejowych i zapewnienia narodowi rozkwitu.

Ideał ten został wysnuty z duszy i natury chłopskiej, pojętej jako praźródło żywiołowej mocy życia w narodzie. Dusza chłopska rysowała się w oczach Wyspiańskiego nie tylko jako rzeczywistość dnia dzisiejszego, lecz przede wszystkim jako „echo prawieku“. Objawia ona współczesnym prawdę i moc twórczą tego średniowiecznego piastowego królowania, co Polskę zrodziło do historycznego bytu.

Dusza chłopska nieskażona, taka jak Czepca w *Weselu*, ma swoje pewne podstawowe właściwości, oprócz samej chęci i mocy życia. Jest gwałtowna, namiętna, mściwa, jak piastowski prototyp szlachty złotego wieku. Prototyp, który jeszcze nie zwyrodniał, który mści się i nienawidzi za swoją krzywdę, ale nie pragnie ani przywileju, ani nawet równości, lecz tylko sprawiedliwości. Chłop - Czepiec ma bardzo silne poczucie hierarchji społecznej i swojego w niej miejsca. Tego miejsca nie lekceważy. Jest świadom i dumny ze swojej mocy, wie, że to podstawa narodowego bytu. Jednak zarazem wie i uznaje, że ponad nim musi i powinna działać hierarchja sprawująca władzę. Potrzebę istnienia tej hierarchji żywo odczuwa. Chce i pożąda mądrej władzy, która go prowadziła i wskazywała mu zadania.

Władzy zaś chłop Czepiec, jak niczego wogóle, nie rozumie połowicznie. Dla niego władza to nie parlamentarny premier, albo szlachecki król elekcyjny, bardziej zależni od rządzonych, niżli rządzi od nich. Dla chłopca - Czepca, władza, co „mu się do duszy nada“, co mu w duszę niezapomniana zapadła, to ta właśnie, co ręką twardą, nieugiętą, niekiedy nieubłaganą aż do okrucieństwa, wbrew woli ple-

mieńców wykuwała nowe polskie królestwo z bezkształtnych złomów przedpaństwowego prabytu.

✓ Jeżeli w pojęciu chłopskiem o władzy państwowej są także jeszcze pewne tony inne, uczuciowo głębsze i łagodniejsze, to w każdym bądź razie nie sięgają one ku zwyrodnieniom tego pojęcia z okresu rzplitej szlacheckiej. Według bowiem teorii, którą wysnuć można lub wyczuć w utworach Wyspiańskiego, okres szlachecki, chociaż szeregiem wielkich czynów dziejowych długotrwały narodowi rozkwit zapewnił, zarazem jednak skaził duchowo warstwę rządzącą, w porównaniu z piastowem praźródłem kmiecem, z którego ona wyszła. Wyszła z wolnych rodów kmiecych, służbą rycerską i nadaniami przewłodycznymi, ale i odeszła od nich: pychą powodzenia duchowo pchnięta ku krzywdzie wobec braci chłopskiej, ku nieposłuszeństwu i nieposzanowaniu wobec władzy królewskiej. Od tego zatem fatalnego zwichnięcia moralnego w wybujałym na szczyty dziejów narodzie, Wyspiański, poprzez duszę chłopską, powraca do zdrowej podstawy piastowskiego pnia. Tam, od Bolesławów twardej ręki aż po Łokietka i Kazimierza, powstaje i wyrabia się z wolna ów ideał średniowiecznego chrześcijańskiego władcy, który się streszcza w tytułach: *dominus et haeres Poloniae*, oraz Pana Miłościwego.

Pan i dziedzic Polski dzierży swą nad nią i jej ludem władzę nie z woli i upoważnienia jakiej bądź istoty ziemskiej (boć i niewiadomo co za moc ziemską Piastów na tronie polskim osadziła), ale z przyrodzonego swego prawa i przede wszystkim z Bożej Łaski. Łaska na Pomazańca spływa w specjalnym „ósmym sakramencie“ (koronacyjnym) władzy. Moc tego „sakramentu“ jest w duchu tak wielka, że chył się przed nią wszystkie głowy w kraju, niezależnie od materialnych środków, jakimi władca rozporządza. Może on się znaleźć bezbronny gdziekolwiek pośród swoich poddanych, więcej nawet, ściągany od wrogów, może się zgłosić o ratunek i obronę, a jeśli tylko da poznać, że jest Pomazańcem sakramentu władzy, „panem i dziedzicem“ Królestwa, to wszystkie serca znajdzie otwarte, wszystkie ramiona sprężą się do walki, wszystkie głowy gotowe będą polec w prochu bitew w obronie Majestatu, w obronie Świętości Władzy.

Władza z Bożej Łaski może ograniczyć tylko sama siebie w nadanych przywilejach. Dopóki tego nie uczyniła i tam, gdzie nie uczyniła, każde jej Słowo - Rozkaz ma taką moc, której każdy poddany królestwa obowiązany jest „słuchać ślepo, wierzyć święcie!”

Władza z Bożej Łaski, władza uświęcona, musi być odbiciem ziemskim zasadniczych właściwości Boskich Trójcy Świętej. Chłop tedy polski, jako głośnik, „ech prawieku“, chce nad sobą władzy potężnej, mądrej, sprawiedliwej, miłościwej... Sądzi, że sprawowanie nad nim takiej władzy jest nie tylko prawem, ale i obowiązkiem wyższych szczebli hierarchji społecznej. Wcieleniem władcy dla chłopca-Czepca jest mocarz, co „bary miał, jak chlebny piec“, tak głęboko mądry, jak tylko „w setne laty“ nim mógł zostać, a tak miłościwy, że „złote podkowy“ szczęścia ludzkiego rozsiewa naokół. Takiego władcy, którego by się bał, którego by słuchać musiał, a kochać miał za co, chłop pragnie, o takim marzy, do takiego dąży. Ponieważ szlachta polska od takiej postawy wobec chłopca daleko odbiegła, a króla uczyniła marjonetką, przeto zgubiła kraj, utraciła miłość ludu i poniosła z jego ręki pomstę, posuniętą aż do zbrodni (Szela).

Tego rodzaju stosunek państwowej władzy absolutnej do poddanych mógł być do pomyślenia (i zbliżał się niekiedy do rzeczywistości w średniowieczu) jedynie dzięki szczególnej potędze ducha religijnego: ducha wiary, zaufania, miłości synowsko-ojcowskiej między stanami a władcą, braterskiej zaś między samymi stanami. Skażoną, późną postać tych uczuć w życiu państwowym polskim ujawnia zawołanie „bracia szlachta“; starodawny (dopiero ku końcowi rzplitej szlacheckiej przez *serenissimus* - najjaśniejszego rugowany) tytuł Miłościwego Pana i Pani; a także obrzęd całowania ręki królewskiej przez wszystkich senatorów i posłów przy otwieraniu sejmów; oraz inne jeszcze znamienne rysy i właściwości staropolskiego publicznego obyczaju.

Wiara — to integralna część duszy chłopskiej, tak od niej nieodłączna, tak z nią zrośnięta, tak z samego rdzenia jej wynikająca, jak wszystkie inne tej duszy przepotężne instynkty. Tylko, że wiara duszę chłopską odrywa od ziemi

i chleba i zwraca ją ku samej racji istnienia, ku samej Istocie Najwyższej. W łączności z tą Istotą dopiero wyzwala całą pełnię mocy piastowskiej przy wykonywaniu wielkiego państwowego czynu. A jak przesiąknięta jest tą wiarą chłopska podstawa społeczna życia, tak też tem bardziej ogarnięte nią być muszą szczyty społeczne z władcą na czele. Toteż w średniowieczu często, również w Polsce, widzimy świętych na tronach. Wernyhora jest Niebios obywatelem, od ich Królowej manifesty do narodu odbiera, z Archaniołem szyki bojowe sprawia. Choć jednak ziemskiej władzy Boży Pomazaniec, a nieba wysłaniec, Wernyhora z Gospodarzem chaty weselnej tak miłościwie rozmawia, że w tej cudownej rozmowie wyraża i osobisty swój majestat i szacunek dla młodszego we władztwie brata i uznanie dlań za to, iż na weselu rzekomo ponownie nawiązał nić braterstwa stanów, zerwaną przez dzieje... Naradza się Wernyhora przyjaźnie z wodzem żyjącego pokolenia, wyjaśnia, tłumaczy, daje wskazówki, wreszcie wzywa i rozkazuje — jak władca, ale i ojciec miłujący.

Jeśli tak się przedstawia Wyspiańskiego ideał państwowo-społeczny w jego statystycznym, nieruchomem przecięciu, to pełnego wyrazu dosięga on dopiero w chwili przeprowadzania wielkiego dziejowego czynu. Czyn taki poczynąć się musi naprzód długo w skupieniu ziemskiej mądrości stanu pod „błękitną łuną” Bożego natchnienia. Potem musi być jako królewskie Słowo-Rozkaz, podany do wiadomości narodu, musi jego serce przeniknąć i poruszyć wolę. Musi zostać podjęty wszystkimi siłami narodowego pospolitego ruszenia mózgów, ramion i serc w wielkim powszechnym porywie wiary i posłuszeństwa, prowadzonym przez królewskiego ducha-orła. Wtedy taki duch-orzeł „z chorągwią i hucem sprawy, z ryngrafem Bogarodzicy” zwołuje „sejmowe stany” i „na sejmie się pojawi Sam w stolicy”. Wtedy uderza w Złoty Róg czynu, nim powołuje bratni zбір a naród tak poprowadzony „pochwyci kopije” i poprzez każdą potęgę wrogą przejdzie.

W Polsce aż po Wiedeń króla Jana cały olbrzymi rozmach dziejotwórczy narodu wyładowuje się i wypełnia w wielkich czynach tego typu, rozżarzonych od wnętrza

dusz świętym płomieniem Wiary, prowadzonych docześnie przez królewskie duchy-orły. Dopiero od XVIII wieku dzieć się poczyna inaczej. Panujący stan, porwany pychą i samolubstwem, siebie wyniósł ponad wszystkich i ponad samo państwo. Lud pograżył w niewoli, miasta odarł na dobro dostaw zagranicy i zastąpił żydami. Koronę wyzuł z wszelkiej władzy, jej zaś symbol święty po trzykroć sponiewierał: sprzedając raz w niegodne ręce pierwszego Sasa, nie broniąc przed gwałtem ze strony drugiego, osadziwszy wreszcie, po raz ostatni, na pudrowanej peruce przyjaciela carycy. Zarazem zniszczył sam sejm suwerenny; uprzednio weń wtłoczywszy istotę państwa, a ponad był jego przenosząc swój przywilej stanowy. Toteż ostatni wielki czyn Polski szlacheckiej, Konstytucja 3-ego maja, nosi już odmienny od wszystkich poprzednich charakter. To nie skojarzenie organiczne sprawy narodowej ze sprawą Bożą, które cechowało wszystkie poprzednie wielkie czyny dziejowe Polski. To tylko (umożliwiony i utworowany przez długotrwałą rosyjską protekcję Rady Nieustającej) potężny i piękny odruch zbiorowego instynktu samozachowawczego. To wybuch czysto ziemskiej siły witalistycznej, niewiele mniej świecki i materialistyczny, niżli współczesna rewolucja we Francji. Nie zmienia tej postaci rzeczy wotum kościoła Opatrzności, bo trzeba było czegoś więcej, czegoś, co nie było do pomysłenia w owym czasie, co przerastało ówczesne siły duchowe narodu. Trzeba było wielkiej, świadomej, narodowej pokuty za przemieszanie wobec olbrzymich zadań dziejowych, za zbrodnię stanu, który sam siebie z najszczytniejszych szlaków bohaterstwa i duchowej wielkości stracił w nizinę saskiego „jedz, pij i popuszczaj pasa“; a państwo zepchnął na poziom „karczmy zajezdnej“, co nierządem stała... Nie dorósł przeto wielki czyn narodowy 3-go maja do poziomu, którego wymagała chwila dziejowa. Nie starczyło wiary, nie starczyło bohaterstwa, nie starczyło nadewszystko orlego serca i orlego lotu myśli królewskiej, by wygrać kampanję roku 1792. Jak nie starczyło później odwagi na pogrom Moskwy w r. 1831.

Nie przyjęła przeto Opatrzność narodowego *votum*...  
Nastał straszny wiek wielkiej pokuty... Długim sznurem po-

wiozły kibitki szlacheckich synów złotej wolności do mroźnych tajg, do taczek i pod baty.

### 11. Skarb duszy chłopskiej.

Wyspiański przeczuwał, że straszliwy wiek wielkiej pokuty już się ma ku końcowi, że noc niewoli i materializmu przemija, że czas jest przedświtowy. Więc pragnął, aby naród, przez pokutę oczyszczony, wstał z martwych o świtanie, od grzechu dziejowego wolny. Pragnął, ażeby się naród odrodził od swego piastowego pnia, ażeby się wyrzekł błędu, ażeby w braterstwie rodziny narodowej połączył znów szlachcica i kmiecia. Pragnął, ażeby z tego pnia odrosła twórcza moc i mądrość uświęconej władzy piastowskiej; ale zarazem wątpił, by szlachcic - inteligent taką władzę godnie i uczciwie sprawować jeszcze zdołał. Czy te idee absolutyzmu lub półabsolutyzmu (stanowe sejmy średniowieczne), przenikniętego wiarą, miłością i nadzieją, a mające stanowić trzon duchowy państwowej organizacji narodu, były utopją? Nie były nią w średniowieczu, natomiast wtedy, gdy pisał Wyspiański *Wesele*, były nią o tyle, że świat znajdował się pod duchowem jarzmem materializmu, biurokratyzmu, lub demagogji demokratyczno - parlamentarnej. Ale utopją zdawała się wtedy i sama odbudowa państwa polskiego. Dziś natomiast nastawienie umysłów, odziedziczone po wieku XIX, okazuje się, nie tylko w Polsce, bezwzględnie niedorostem do zadań chwili dziejowej. Zarysowała się potężna dążność do likwidacji ustrojów wolnościowych na rzecz absolutyzmu, sięgającego głębiej niż kiedykolwiek w materialne podstawy bytu zbiorowego, bo w życie gospodarcze. Miażdżący dla rządzonych i dla rządzących ciężar duchowy takiej wszechwładzy cóż może uczynić znośnym i dobroczynnym, jak nie współpraca wiary i uczuć religijnych w życiu publicznem, jak nie ponowna, głęboka chrystjanizacja władzy i państwa? Nie sądzę, ażeby odrodzieńczy ruch religijny przypadkowo i bez logiki psychologicznej towarzyszył współczesnemu kryzysowi ustrojów wolnościowych. Ponoć wkraczamy przecie w nowe średniowiecze. Poprzednie było epoką nie tylko żelaznej prawicy rycerskiej, ale i absolutyzmu ducha. Odrodzić się on może z piastowego skarbu duszy chłopskiej...

Może stracić fałszywe bóstwa komunizmu i hitleryzmu — nietylko w Polsce...

## 12. Wizja i rzeczywistość.

Wyspiański dał sobie i narodowi w *Weselu* odpowiedź na pytanie, jak zachowałyby się współczesne mu pokolenie polskie w obliczu świtu niepodległości? Czy dorosłoby duchowo do podjęcia zadań, które świt taki narodowi narzucić może? Odpowiedź wypadła tragicznie. Ani inteligencja, ani lud z r. 1900 do zadań tych nie dorastały. Dusze ich są, jak ów „róży krzak“, niepozbawione potężnej jeszcze, nieświadomej, żywiołowej mocy życia, ale spowite w chochoł słomiany dążeń ośrodkowo-egoistycznych. To „zakłęte słomiane straszdyło“, w którym krzak róży tętni wprawdzie żywą krwią serdeczną, ale i broczy tą krwią, wprowadzić ma wyzwolony, a wciąż jeszcze niewolny, naród we świt wolności. Ono go zaczaruje przyziemną muzyczką wegetacji, miast złotym dźwiękiem rogów z pod Grunwaldu, Pskowa i Kłuszyna znów wynieść na wirchy dziejów. Jedyna nadzieja, że sen nie przejdzie w Noc i Śmierć, to żywy (choć zarazem półmartwy w chochołowym uścisku) „róży krzak“. Z niego może coś jeszcze wielkiego odkwitnie — na drugą wiosnę...

Tak mrocznie przedstawiała się przyszłość narodowego wyzwolenia Wyspiańskiemu na podstawie fizjognomji duchowej weselników z r. 1900. Dziś, po latach trzydziestu, czas odpowiedzieć na pytanie (na które wówczas sam Wyspiański odpowiedziećby nie mógł): czy rzeczywistość historyczna, zapoczątkowana w 14 lat później, przewidywaniom i przeczuciom Wyspiańskiego odpowiedziała? Czy zwłaszcza w odbudowie państwa polskiego, oraz jego dalszym rozwoju, pierwsze miejsce zajął dźwięk Złotego Rogu zmartwychwstania w duchu do wielkiej i świętej misji dziejowej? Lub też przeciwnie, w procesie tym główną ma zasługę podświadoma moc witalistyczna krzaka róży, skrępowana szpetnym chochołem starych grzechów, nierówno pulsującą w fakt jego niezdarnych, a tak potężnie czarujących skrzypek?

Omylił się Wyspiański o tyle, że pokolenie, na które patrzył i które potępiał, weszło w krwawy przedświt wol-

ności, z tą samą wprawdzie rdzenną budową psychiki, ale z pewną odmianą doraźnej postawy duchowej. Szereg silnych wstrząśnień, jak wojna japońska i rewolucja rosyjska, następnie zaś naprężenia międzynarodowe i wojny, niemal nieustanne od r. 1907 i zwłaszcza 1909 roku, sprawiły, że inteligencja polska nieco odwróciła się od dekadencjonalnej literatury. Natomiast żywszą poczęła zwracać uwagę na coraz bardziej interesującą rzeczywistość. Toteż w r. 1914 inteligencja polska zachowała się inteligentniej, niżli to *Wesele* przedstawia w akcie trzecim. Owszem, poczęła się nawet krzątać żywo po chacie, uprzętając i przygotowując to i owo, na prawo i na lewo, na przyjęcie, — coby nie Wernyhory, bo w niego z całego pozytywistycznego serca nie wierzyła, — ale przynajmniej tego „jutra — wielkiej tajemnicy“, które zdawało się budzić nadzieję. Inna rzecz, że tym przygotowaniom (raczej gospodyni, niżli gospodarza) daleko było do skali duchowej już nie Wiednia, ale choćby tylko Racławic. Dość, że inteligencja wstała i wyszła na spotkanie krwawego przedświt, jak mogła i umiała, świadomie i z dobrą wolą, przygotowana po swojemu do podtrzymania pulsu życia w „krzaku róży“ podczas wichrów wielkiej wojny. Wzorem i odbiciem zachodniego nacjonalizmu, oraz klasowości, nastąpił przytem podział na dwie grupy, dwa łożyska „ideowe“, a czasami — dwie „orientacje“. Odpowiadały one nie tylko dwóm subiektywnie jednostronnym nastawieniom umysłów, ale wręcz wrodzonym skłonnościom dwóch odmian psychicznej rasy polskiej.

Odmiana „aktywistyczna“, romantyczna, rewolucyjna, rzutka, wybuchowa, zawzięta, niecierpliwa, nieprzezorna, odważna za siebie i za innych, atawistycznie stanowa, wolnościowa i równościowa, w nowych zaś warunkach równie łatwo klasowa, — odmiana ta przyjęła „orientację“ ludową, niepodległościową, przeciwdespotyczną, zachodnią i przeciwmoskiewską. Ta odmiana psychiki polskiej, dziedziczka porywistości staro-szlacheckiej z powstaniami włącznie, rzuciła na szalę krwawego przedświt zapał, impet, wiarę w Polskę i wiarę w wodza, oraz niepohamowany w namiętności swej, odważny aż do straceństwa, od rachub politycznych raczej daleki, lub traktujący je subiektywnie — ozięby czyn.

Zrzekała się, w pierwszej godzinie krwawego przedświt, zachodniej połowy kraju, za rozkosz bicia Moskali pod hasłem: „by choć jednego z zaborców zwalczać!“ Wydała z tego swojego fanatycznego czynu szereg pięknych pereł ułańskiej lub lisowczykowej fantazji, jak szarżę rokicką, Lisa - Kulę i Bułak - Bałachowicza. Aktywistyczna grupa inteligencji polskiej natychmiast przerzuciła się z orientacji zachodniej w wielkopolską, gdy tylko kontur przyszłości na tyle wynurzył się z przedświt, że można było rozróżnić już pobitą Moskwę od jeszcze niepobitych Niemiec. Za tę „zmianę frontu“ powędrowała bez wahania ta grupa do Szczypiorna, Marmaroszu, Magdeburga.

Pasywistyczna i pozywistyczna psychiczno-rasowa odmiana inteligencji polskiej, praktyczna, konsekwentna, cierpliwa, wytrwała, chłodna, trafnie umiejąca ocenić swój oraz cudzy interes, racjonalistyczna w skłonnościach umysłowych, od wojaczki wprawdzie się nie usuwała, ale też bynajmniej nie paliła się do niej. Temperament spokojniejszy i przewaga refleksji nad uczuciowością posunęły „pasywistów“ w kierunku orientacji „narodowej“, *de facto* ochronnej dla klas posiadających, orientacji zjednoczeniowej, wschodniej, przeciwniemieckiej.

Ta grupa inteligencji polskiej, duchowo spokrewniona z mieszczańskim racjonalistycznym patriotyzmem 3 maja, rezygnowała faktycznie nie tylko z Litwy i Rusi, lecz nawet ze Lwowa, dla ideału „zjednoczonej z dostępem do morza“ oraz dla zasady: „niepomagania żadnemu z zaborców“. Natychmiast wszakże, gdy tylko kontur przyszłości na tyle wynurzył się z krwawego przedświt, że można było rozróżnić słabnięcie Moskwy, akt zaś 5-go listopada wprowadził sprawę polską na grunt rzeczywistości, grupa pasywistyczna wszczęła wyęzione zabiegi dyplomatyczne na zachodzie o charakterze już niedwuznacznie wielkopolskim.

Owe dwie grupy inteligencji polskiej odpowiadały w pewnej mierze zachodniemu podziałowi na nacjonalistów i klasowców. Wszakże, o ile chodzi o „orientacje“ wobec krwawego przedświt, zostały powołane do życia logiką konieczności witalistycznej, działającej w danych warunkach. Orientacja integralnie jednostronna była naturalna, możliwa

i użyteczna dla Czechów. Dla Polski natomiast, rozdarcie pomiędzy strony walczące, których zwycięstwa niepodobna było przewidzieć, z początku byłaby ryzykowna, następnie zaś nawet szkodliwa. Zabrakłoby bowiem presji na mocarstwa zachodnie, w postaci obaw o pobór polskiego rekruta na rzecz Niemiec. Aktywistyczny impet i pasywistyczna rozważa, miecz i dyplomacja, uzupełniły się przeto i wzajemnie wsparły, wytwarzając podświadomą witalistyczną harmonję. Nawet fakt, że liczebna większość narodu zachowała się według recepty pasywistycznej, wcale między tymi czynnikami równowagi nie narusza; gdyż po pierwsze do bierności zawsze łatwiej jest masę nakłonić niż do wysiłku, a powtóre, taki właśnie rozkład liczebny był nieodzowny dla należytego dynamicznego zharmonizowania współpracy obu prądów życia w łodydze „krzaka róży“.

O ile zaś o trafność przewidywań chodzi, to historia im obu zarówno przyznała rację, tem samem jednak przewyższając oczekiwania każdego z nich. Prąd pasywistyczny „stawiał“ na Rosję przeciwko Niemcom, poświęcając faktycznie nawet Lwów dla dostępu do morza; jednak dzięki klęsce Rosji dało się dla Polski odzyskać i dostęp do morza i Lwów. Prąd aktywistyczny „stawiał“ na Niemcy, rezygnując z dzielnicy pruskiej dla szerokich widnokręgów ukraińskich; jednak dzięki klęsce Niemiec dało się odzyskać dla Polski równocześnie i Pomorze i Wilno i Wołyń. Tajemnica świtu wolności polskiej zawarta została w równoległości pogromu obu zarówno czarnych orłów, które rozszarpały Rzplite szlachecką, przy równoczesnem zestrzeleniu orła trzeciego.

### 13. Trzeci szturm.

Jeżeli jednak taka podświadoma witalistyczna harmonja, pomiędzy prądami życia w łonie inteligencji polskiej, wystarczała jeszcze na przedświcie, to zawiodła i poczęła na kraj broczyć krwią z rozdarcia partyjnego, natychmiast po wzejściu słońca wolności. Obie bowiem inteligentne odmiany psychiczne rasy polskiej, temperamentowo i usposobieniowo wzajemnie się nieznoszące, obie grupy współzawodniczących interesów, o świcie wolności skoczyły sobie do oczu z taką

zajadłością, jakiej nie przewidział Wyspiański w *Weselu*. Zły duch faksji siłą opętania przerósł tu czartoryszczyków i braniczzyków XVIII stulecia, a nie ustąpił im wiele potęgą rozkładową. Natomiast w dziejowej rzeczywistości zabrakło zupełnie miejsca dla kosynierów raclawickich Czepca, zastąpionych przez inteligenckie legjony.

Nastąpiło jednak wkrótce prowizoryczne zawieszenie broni, podział łupu władzy pomiędzy naczelnikiem a premierem, pierwszego — „na bacznąć”, drugiego — „pokłon w pas” oraz dwustronna apelacja obojga inteligencji, prawej i lewej, do „suwerennego”, który miał przyjsć.

Jakoż przyszedł wkrótce, ale przekazany mu w owej chwili złotym rogiem, na którym inteligencja nie umiała zaintonować zgodnego hymnu zmartwychwstania, — nie zainteresował się wcale. Przedsięwziął co wiedział i umiał. Jednym głosem „większości” ustroił się we wiechę z pawich piór reformy rolnej. Boć jeśli Chochoł z pomiędzy obojga inteligencji wzywał suwerennego, a już tymczasem dojrzalego Jaśka:

Tańcuj, tańczy cała szopka  
a cyś to ty za parobka?

toć nie mógł on inaczej odpowiedzieć jak tylko:

Przeciem družba, przeciem družba  
a družbie to w copce służba.

Dobrze jednak uczynił Jaśko, trafnym instynktem wiedziony, strojąc się w te pawie pióra. Owa „reformatorska” uchwała stanowiła witalistyczny odpowiednik hymnu:

Juz świtanie, juz świtanie, —  
tu trza bydłu pasze nieść,  
urznąć sieczki, warzyć jeść!...

Jedynie tylko z zaspokojenia trojakiej żądy pierwotnej: ciała, żeru (jak w *Weselu*), oraz ziemi (jak w rzeczywistości 1919 r.) mogła zracjonalizowana latorośl Czepcowego pnia zaczerpnąć tę żywiołową moc, na której wsparła się i ocalała powstająca z grobu Umarła.

Narazie jakby znieruchomiła z przestachu, gdy pośród walk zbrojnych na kresach i nieustalonych granic, miasto zewu miłości ku powracającej, rozległ się chrapliwy poryk wiecowy o „gronta” z odszkodowaniem lub bez,

o „upaństwowienie lasów“, o fornalskie „umowy zbiorowe“, o „zdobycze socjalne“. A odpowiedziały mu niemniej zadągle filipiki sejmowe w obronie najzrozumialszej w tem środowisku „świętości“ — stanu posiadania. To był Pierwszy Czar.

Wtem od rozstaju na wschodzie zadał gwałtowny wichur i zatargał czapką z pawich piór. Tu wizja Wyspiańskiego stała się znów o tyle niedokładna, że nie przeczuł on wojny 1920 r., lecz tylko jakąś przerwę i wstrząs o świtanie, dzielące od siebie dwa chochołowe czary, jeden bardziej, drugi mniej śmiertelny. Rzeczywistość można, według symboliki *Wesela*, sparafrazować tak, że pośród wichru i łuny od wschodu na podwórzec dziejowy wpadł Wicek z Wierchosławic, bez złotego rogu i bez krawata, ale z uchwaloną już „reformistyczną“ wiechą z pawich piór. Zgodnie zaś z naturą położenia nie zaintonował ponownie znanego hymnu „Juz świtanie“, lecz stanął na czele rządu obrony narodowej i odparł czerwony szturm na Warszawę, trzeci z pośród przepowiedzianych przez Wernyhore na okres rozbiorowy.

Obok samego wznowienia niepodległości polskiej jest to jedyny wielki czyn ogólno-światowej doniosłości, dokonany przez nową Polskę. Z natury sytuacji, oraz stanów psychiki narodowej wynika, że mógł to być jedynie witalistyczny akt samoobrony czynnej. Brakowało mu głębokiego porwywu religijnego, jaki cechował naprz. obronę Częstochowy w czasie szwedzkiego potopu. Śliczny i wzniosły epizod księdza Skorupki jest zbyt minjaturowy, by mógł Jasną Górę ks. Kordeckiego zastąpić. Akt samoobrony czynnej 1920 r. rozwinął się w następstwie myśli kierowniczej kijowskiej, której szerokiego polotu odmówić nie można, której natomiast chochołowa rzeczywistość „rośmiała się w nos“, z powodu błędnej kalkulacji.

Pomiędzy tym pierwszym i dotąd jedynym wielkim czynem dziejowym nowej Polski, odparciem trzeciego szturm na Warszawę, a ostatnim wielkim czynem majowym Rzplitej szlacheckiej zachodzi pewna odwrotna analogia ich duchowej ułomności. Niedostawało im obu żaru wewnętrznego, wiary serc religijnej, co góry przenosi, bo

płyńcie z bezpośredniego kontaktu dusz z Źródłem Bytu... Przysługiwała im przeważnie tylko świecka miłość ziemi ojczystej i wiara świecka w światłość rozumu ludzkiego. Oba te dzieła nosiły charakter przeważająco zbiorowy, jako akty instynktu samozachowawczego narodu, a mało noszą na sobie piętna i piękna indywidualnego kierownictwa. Po konstytucji 3-go maja zawiodło pogotowie i zdolność bojowa narodu w wojnie z Moskwą. W roku zaś 1920 nie zawiodło kierownictwo wojskowe, natomiast zawiodła zdolność polityczna zarówno wobec zadań międzynarodowych, jak później również wewnętrznych.

#### 14. Drugi Czar.

Nie mogło też inaczej być, bowiem wszystkie żywe siły i ośrodki świadomości politycznej w narodzie, zarówno obie inteligencje, pasywistyczna i aktywistyczna, jak potężne liczbą zastępy Jaśka od pawich piór (nie mówiąc już o klasowcach szkoły Marksa), wyobrażały sobie państwo przede wszystkim jako niezwykle dojną krowę, oraz ogromną „malowaną skrzynię“, pełną złotych podków do wzięcia. Władzy państwowej nie wyobrażały sobie inaczej, jak tylko demokratycznie i wolnościowo, ludowo i narodowo, albowiem w ten sposób najłatwiej mogła ona przypaść zainteresowanym i wyjmować lub ochraniać ich złote podkowy. Wszystko zatem, co politycznie w państwie żyło, to padało na twarz przed liczebną potęgą ciemnej masy, przed wiecem wyborczym, od wewnątrz opanowanym przez agitatorów, a na zewnątrz ujawniającym swoją duchową zawartość i wartość w okrzykach: „Precz, hańba, niech żyje!“

Jest to ten właśnie piedestał majestatu państwa i ojczyzny, do którego swój stosunek określa Czepiec w *Weselu* w następującym ustępie:

A to było przy wyborze,  
w sali w tym sokolskim dworze: —  
po co sie bestyjo darła  
a to tak z całego garła: —  
było, jak go hukne w pysk,  
myślałem juz, ze sie stoczył,  
on sie ino krwiom zamrocył,  
a nie upod, bo był ścisk.

Niestety! O rzeczywistem świtanu wolności nad polską chatą weselną nie było w niej już wcale starego Czepca z kosynierami. Był tylko podstarzały tymczasem Jaśko. Więc (niemal jak za Sasów) w nowo powstającym państwie polskim władza nie tylko przestała (lub nie zaczęła) być świętością, lecz tarzała się w pyle ulicznym jak piłka nożna, podzucana władcami kopnięciami hyjen wyborczych, czy piekarsko - fornalskich możnowładców. Nie dziw, że ten Drugi Czar, który zapanował nad Polską po r. 1920, cały wypełniony został rytmem aż nadto swojskim, aż nadto nierównym, aż nadto usypiającym duszę, krwawiącym, jak rana świeża: „rytmem“ czy zgiełkiem rozżartej między sobą o postaw czerwonego sukna, który pomiędzy nią spadł nagle, a zdawał się nadspodziewanie okazały, wielki.

Tak dalece odbywało się to wszystko pod złowieszczym czarem podświadomości, tak dalece nikt w kraju nie był w stanie pomyśleć nawet, iż ten koszmarny taniec egoizmów nie jest stanem etycznie uprawnionym i życiowo normalnym, że gdy nareszcie znalazł się ktoś od innych mocniejszy, kto śmiał i umiał władzę z ulicznego prochu podjąć i zabrać sobie, to i on jednak nie śmiał i nie umiał wyciągnąć stąd konsekwencji: nie przebudował form ustrojowych państwa podług nowego umiejscowienia jego władczej osi.

Mocnym jest „róży kwiat“ polskiego życia, jeśli pomimo tak zabójczego skrepowania, nie tylko przetrwał długi rok taneczny Chochoła, lecz przez szereg lat zdawał się rozwijać i krzepnąć. Wszystko jednak ma swój kres naturalny. Okazało się wkońcu, że nieustanne dreptanie w obrębie partyjnych, koteryjnych, osobistych podwórek, interesów, że powszednie, rozpaczliwe, beznadziejnie uparte, wszechstronne załganie w demagogji nie zastąpi ani międzywarstwowej solidarności społecznej, ani solidarności społeczeństwa z państwem, ani uświadomienia społeczeństwa o sprawach państwa, ani śmiałego, mocnego, twórczego czynu władzy. I podobnie też nie zastąpi ciasna trzeźwość pozytywistyczna wiary, nadziei i miłości, poświęcenia, posłuszeństwa i karności — wobec Boga, narodu i państwa.

Atmosfera walki wszystkich przeciwko wszystkim nie stanowi wprawdzie *privilegium odiosum* Polski. Nie inaczej

jest w wewnętrznym i międzynarodowym życiu mocarstw zachodnich, silniejszych, zasobniejszych, bezpieczniejszych niżli Polska. Jeśli objawy te występują u nas w sposób szczególnie jaskrawy i niebezpieczny, to głównie w znaczeniu stosunkowym, wobec słabości i ubóstwa, stawiającego pierwsze kroki w nowym życiu, państwa. W większości krajów wciąż jeszcze zmaterializowana, zalękniona, bezwładna inteligencja pokornie służy suwerennej woli potężnej ilościowym ciężarem masy. *Dix millions d'ignorances, qui ne font pas un savoir* — wyznaczają szlaki dziejowe z głębi swej wszechwładnej ciemnoty. Zmaterializowany intelekt techniczno-finansowy, rakietami ku gwiazdom się wyrrywający, na ziemi u własnych stóp grzęźnie w trzęsawisku zagadek, od których zależy bezpośrednio kwestja bytu człowieczeństwa i cywilizacji, ale o których wie tyleż szewc, co i profesor, stający razem u urny wyborczej.

Tęgo gram, tęgo gram:  
będą tańczyć cały rok!...

Ten długi rok dziesięcioletni zdaje się już jednak zbliżać ku końcowi; szarzeje, chłodnieje i wkracza w nowe listopady. Dziesięcioletni dzień wolności, spędzony w chochołowym spowiciu, pod takt dusze usypiającej muzyczki, poczyną jakby zamieniać się w nowy zmierzch. Ponad wszelką wątpliwość okazuje się w Polsce, jak i we świecie, że sama tylko moc witalistyczna krzaka róży, przez całe lata wydreżzonego w chochole, nie strzyma, nie wystarczy dla zapewnienia wiosennego rozkwitu. Przeciwnie, oto poczyną dusić się, zamierać. A z rynku spraw publicznych, z łamów drukowanego słowa, z weselnej izby życia polskiego i nie polskiego wciąż jeszcze nie przestaje dolatywać śmiertelnie monotony tupoł sztywno wodzących się pomiędzy sobą, w śnie zakłamania i strachu kół i kółeczek społecznych.

To ich Lęk i Strach tak wzion,  
posłyszeli Ducha głos:  
rozpion sie nad nimi Los.

## 15. Zakończenie.

Gospodarzu Jaśku! „Bez tom wieche z pawich piór“,  
oraz przez nieudolność władczą tych, coby lud prowadzić

winni, odebraliście już cięgi srogie z karzącej ręki Boskiej i odbieracie je nieustannie. Ale wiecha z pawich piór od jednego dopiero pokolenia wytrąciła z twardych rąk chłopskich kosa państwowego czynu, postrzepywała ze skałek proch. Jeszcze nie zarósł głęboko trawą skarb piastowy duszy chłopskiej. Odrzućcie pawie pióra, odgrzebcie, odkopcie, odnajdźcie skarb szczerozłoty, powróćcie go waszej i naszej zmartwychpowstałej Matce... Pomóżcie rozwiązać róży krzak!... Pomóżcie odszukać złoty róg i wydrzeć go Chochołowi!... Pomóżcie odbudować mocarne, mądre, miłościwe, miłowane i od Boga uświęcone piastowe władztwo w Polsce... Oto bowiem zbliża się ponowna noc ponurych wichrów Ikań. Po niej niewiadomo, czy nowy świt nastanie... Więc trzeba, ażeby to była biała noc bezmroczna, ażeby zmierzch przeszedł odrazu w nową zorzę, ażeby ponownie Matka Boża w koronie raczyła zstąpić na Wawelski Dwór i wskrzesić do historycznego życia nie tylko ciało, ale i Ducha Narodu!...

Na Bogarodzicę - Dziewicę, polskiej korony Jasnogórską Królowę, — pomóżcie, gospodarzu Jaśku!..

To wszystko, co mam dziś do powiedzenia, jako tłumacz nieprzespanego snu urocznej polskiej nocy weselnej... I ja tam byłem, miód i wino piłem, a com widział i słyszał, w opis umieściłem... Dotąd mi w uszach dźwięczą groźne, karzące, ale i wskazujące słowa: „Miałeś chamię, złoty róg!” To jednak nie były słowa ostatnie, jakiem dosłyszał. Z głębin minionej rzeczywistości wiatr letni doniósł do moich uszu cichy szept Wiary Świętej w Miłosierdzie Boże. Szept ten brzmiał:

„A trzeciego dnia dusza wróci do ciała i naród zmartwychwstanie i uwolni wszystkie ludy Europy z niewoli“.

„I przeszło już dni dwa: jeden dzień zaszedł z pierwszym wzięciem Warszawy, a drugi dzień zaszedł z drugim wzięciem Warszawy, a trzeci dzień wnijdzie, ale nie zajdzie“.

„A jako za zmartwychwstaniem Chrystusa ustały na całej ziemi ofiary krwawe, tak za zmartwychwstaniem narodu polskiego ustaną w chrześcijaństwie wojny“.



INSTYTUT  
BADAŃ I SPRAWACH PAN  
Biblioteka  
ul. Nowy Świat Nr 72  
00-330 Warszawa  
Tel. 26-68-68, 26-52-31 w. 42













F

11.014